

22972

WF
UW

22972

Połączone Biblioteki WFIS UW, IFIS PAN i PTF

U.22972



39022972000000



**KRZYŻ
i
SFINKS**

NAKŁ. „ODRODZENIA” KATOWICE.

<http://www.org.pl/ifs>

Książnica Wiedzy Duchowej № 20.

IRIS.

22972

Sfinks i Krzyż

Dwa Światy.



Katowice — Górny Śląsk 1924 r.
Nakładem Redakcji „Odrodzenia“.

<http://rcin.org.pl/ifis>



22972

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Φ

32.4.61

A. 161/61

1111

<http://rcin.org.pl/ifis>

*A wiedz, że w piersi masz archaniota,
Co w zorzach cały stoi,
A niezrodzone do życia woła
U zwartych dnia podwoi!
Niechże pieśń twoja ma żywe moce
Płomienia, co ulata,
I niech rozwiąże wiekowe noce
W potężny rozblask świata!
Niech bije w duchy śpiące
Aż przyszłość swoje rozżarzy świty
W płomienne żywe słońce!*

M. Konopnicka,

Słowo od Wydawcy.

Wydając zbiorek utworów mało dotąd znanej autorki pragnę zwrócić uwagę Czytelników na typ kobiety, który powtarza się tu we wszystkich oświetleniach i odcieniach, stwarzając jakąś postać wymarzoną, niespotykaną dotąd w literaturze — jednym słowem — stawiając ideał miłości i kobiety Anioła Stróża mężczyzny, wzór i żywy przykład przyszłej kobiety, prawdziwej towarzyszkii, współpracownicy i wychowawczynie mężczyzny takiej — jaką w przyszłości powinna być, jaką niejednokrotnie na łamach naszego miesięcznika „Odrodzenie” obrazowaliśmy. — Dotychczasowa bowiem kobieta to przeciętnie lalka i papuga — strojna i rozbawiona, próżna i zafolna, narzędzie rozkoszy i chuci mężczyzny a często niewolnica i wół roboczy męża brutalna, dźwigająca nieraz cały ciężar utrzymania rodziny i wychowania potomstwa a nie równorzędna, równouprawniona i świadoma swej godności i powołania towarzyszka życia mężczyzny. A taką niestety pragnął ją mieć współczesny samolubny, despotyczny i zmaterjalizowany a fizycznie, moralnie i duchowo upadły świat męki — spychając kobietę do rzędu kochanicy, kucharki i czarnego raba zamkniętego w ciężkiej atmosferze ciasnych ścian kuchni i dzieciarni lub ubóstwianego kwiatu posadzonego w odurzających salonach albo pawia lub strojnej papugi przebiegającej hałaśliwie i wyzywająco po ulicach miasta i drażniącej zmysły mężczyzn w teatrach, kinach, kawiarniach i różnych nocnych lokalach użycia i rozpusty! Rzadko zaś stosunkowo spotyka się pełną powagi, powabu i godności żonę, matkę i pracownicę społeczną — takie cnoty i ideały dziś niestety nie popłacają.

Kobieta obecna dostosowuje się — pożałuj się Boże — do niskich, płaskich i lubieżnych wymagań dzisiejszego mężczyzny i zatracą świadomość swej godności i posłannictwa wobec mężczyzny, wobec rodziny i świata, jakie ma spełnić, aby ludzkość się odrodziła, uzdrowiła i podniosła do szczytnych jej przeznaczeń.

Bo jakież przeznaczenie, jaki cel ma, miała i mieć będzie kobieta wobec mężczyzny?

Powiedzmy tutaj szczerze i otwarcie bez zastrzeżeń i chęci wywyższania, że *kobieta ugłaskała, wysubtelniła pierwotną dziką naturę mężczyzny; ona stała, stoi i stać winna na*

straży czystości i niepokalanania ogniska domowego, ona stróżem szczęścia rodziny; ona powinna coraz dalej i wyżej podnosić i uzacniać męczyzny — a ona to może, w jej to mocy, to jej powołaniem i przeznaczeniem a więc niechaj spełnia swój obowiązek i swoje posłannictwo dla dobra ludzkości!

A do tego wysokiego, opatrnościowego i wprost anielskiego powołania trzeba ją wychować i przygotować, stworzyć nowy typ kobiety — matki, żony, towarzyszk i współpracownicy męczyzny w sferze jej przyrodzonej, do której jest swojemi nieporównanemi zdolnościami duchowemi i społecznemi, intuicją i darem spostrzegawczym powołaną i przeznaczoną. Wtedy dopiero stanie się kobieta prawdziwą *Kapłanką Znicza ogniska domowego i równorzędną pracownicą społeczną; wtedy dopiero z małżeństwa i współdziałania rozumu, woli i siły fizycznej męczyzny a uczucia i intuicji kobiety wskrzesi nowe życie, nowy ród, nowy świat, nowa czystsza, wyższa i wspanialsza cywilizacja ludzkości — co daj Boże jak najrychlej.*

Nowy ten i odwieczny zarazem przedstawiony tutaj typ i ideał kobiety — to owa Ewa Zwycięska, której duch czysty i świadomy posłannictwa swego poprowadzi ducha męczyzny ku wyżynom nowego — wyższego typu człowieka.

Kobieta to zawsze stała po stronie a często na czele wszelkiego ruchu duchowego, etycznego i religijnego zmierzającego do odnowienia, odrodzenia i podniesienia życia społecznego, naukowego i rzdinnego. Kobieta zawsze i wszędzie przykładła rękę do wszelkiej pracy pokojowej, płodnej i twórczej; ona wypowiadała wojnę wojnie i wszelkiemu bezprawiu, była orędownikiem i piastunem poezji, sztuki i muzyki i wszystkiego co zacne, czyste i piękne; ona wszystko prześwieślała i opromieniała swoją pogodą i radością życia, intuicją i słonecznością, otulała miłością i pięknem swej duszy, pragnąc życie uweselić, umilić i okraszyć słońcem piękna, wdzięku i pokoju.

Nie mniejsze zasługi ma kobieta i w świecie naukowym a będzie miała jeszcze większe, skoro dotrze do wszystkich jej tajemników, od których ją zazdrośnie odpycha świat męski, pragnąc mieć w kobiecie tylko kochanicę i narzędzie rozkoszy, sobie samemu tylko przywłaszczając prawo do świata naukowego i rozwiązywania głębokich zagadnień życiowych. Jak bowiem M. Maeterlinek mówi — widzą i wiedzą one rzeczy, o jakich my nie wiemy i one są w posiadaniu światła, któreśmy postradali. Zamieszkują one u samych stóp Wielkiej Tajemnicy Bytu i znają do niej lepiej niż my najprostsze ścieżki. One piastują w swej duszy jakieś dziwne pewności i dążenia zdumiewające, one są zaiste tajemniczemi siostrzycami wszystkich rzeczy wiel-

kich a ukrytych dla oka naszego. One też zaprawdę są najbardziej zbliżone do wielkich wrót Nieskończoności, która je otacza; one piastują jeszcze w swej piersi wzruszenia boskie pierwszych dni bytu. Kobieta nareszcie była po wsze czasy żywicielką i zachowawczyną zmysłu mistycznego na ziemi; ona ma zetrzeć „głowę węzową” z łona ludzkości“.

A ponadto kobieta walcząca a cierpiąca dnia wczorajszego ma stać się Kobieta — Apostołą i Reformatorką, Kobieta — Mędrcom i Aniołem dnia jutrzejszego a wtedy wpływ tej kobiety Jutra, kobiety „Mędrca i Anioła” uchroni ludzkość od krwawych przewrotów społecznych, politycznych i gospodarczych, wtedy zaświta Era Pokoju i Szczęścia Ludzkości!

Wiadomo też, że jeżeli kobieta z całym umiłowaniem serca i duszy odda się jakiejś sprawie czy to naukowej czy społecznej — wtedy swoją wytrwałością, gorliwością o całe niebo prześciga świat męski podobnie jak owe niestrudzone, wciąż twórcze i niezwalczone mrówki — robotnice i pszczołki — pracownice jakby zarodek i zapowiedź stawania nowego typu rodzaju ludzkiego — nowego pracownika społecznego!

Utwory tutaj zebrane a szczęściowo już dawniej ogłoszone w różnych pismach literackich, umieszczono tu w stosunku odwrotnym do ich powstawania. Widzimy, że autorka w zaczątkach swej twórczości nie ulegała jeszcze czarowi wiedzy duchowej, lecz że mistyczna jej dusza przeczowała, pożądała i szukała drogi na szczyty błękitne „Religji Wiedzy“.

W drugiej części zbiorku „*Tęsknota*“ widoczny jest już ten skok nagły, jakby w ciągu pisania otworzyły się przed jej duszą wrota Sezamu. I odtąd ona już wie dokąd zmierza — szuka syntezy i uzgodnienia wiary prastarej, dziecięcej i gorącej, wyrosłej z głębi ziemi, z tradycji wychowania religijnego z porywającym ją wirum nowych prądów, by w ostatnim utworze „*Sfinks i Krzyż*“ w upojeniu radosnem jako znalazca skarbu szukanego przez całe życie w męce i znoju zawołać: „Czy słyszysz jak bije serce me na wszystkich krańcach ziemi — tu zaczyna się Wiara“. „Błogosławionaś ty, któraś uwierzyła i stałaś się moją Wiarą“ odpowiada towarzyszy jej poszukiwań.

Oto typ kobiety Jutra. Błogosławiona ziemia, na której zrodzą się takie kwiaty dusz kobiecych; — błogosławiony i szczęśliwy mężczyzna, który je spotka na swojej drodze w matce swej, siostrze, przyjaciółce lub żonie!...

A że to jest najczystszy, najbardziej swoisty typ — kwiat wybujały na bogatej w soki mistyczne glebie Polskiego Ducha — jest w nim zarazem *zapowiedź i potwierdzenie wysokich powołań naszego narodu, którego byt stać się ma postępowym, wyzwalaającym i uauchowującym — Czynem Świata.*

Co zaś do na czele zbioru umieszczonego utworu „*Sfinks i Krzyż*“, to zaznaczamy, że w formie dialogu — rozmowy kobiety z mężczyzną — są tam wyrażone i przeciwstawione zasadnicze idee i hasła dwóch światów, a mianowicie świata starożytnego, którego symbolem jest tajemniczy „Sfinks“, i nowej ery Chrystjanizmu, której znakiem jest postać „Krzyża“ — a których prądy myślowe odbite są jakby w pryzmacie dwubiegunowej psychiki — mężczyzny i kobiety ludzkości współczesnej.

Poszukujemy Syntezy stosunku dwu światów — widzialnego i niewidzialnego, badamy fenomena zjawisk psychofizycznych i okultystycznych, studjujemy księgi religijne i filozoficzne Wschodu, odgrzebujemy z pyłu wiekowego zapomnienia cały aparat wiedzy hermetycznej, wskrzeszamy z pogardą odrzucone nauki: astrologię, magję, teurgję, alchemję i kabalistykę, w tej samej co niegdyś nadziei, że one zawierają klucz zamkniętych sezamów sił tajemnych, których zdobycie uczyni człowieka Panem i Władcą Świata — Człowiekiem Bogiem.

Symbolem tych nadziei ludzkości jest Sfinks — zabytek prastarej kultury ras przedhistorycznych, które za pomocą rytmów astralnych obecnie zatraconych doszły do wiedzy okultnej, sięgającej daleko poza sferę dzisiejszego naszego poznania.

Duch ludzkości — męski, twórczy i zdobywca — żądny wiedzy i władzy, odgrzebuje posąg Sfinksa, by siłami wydarzeń podziemnej jego tajemnicy wzbogacić wyczerpane, mdlejące siły intelektualne Europy.

Syntezę jednak nie zdobywa się rozumowo jedynie. — Świadomość wyzwolona to działanie sił wszechstronnych, to stopienie wszystkich barw, tęczy w jednym wszechkolorze, to Androgine dwupolarnych wypromieniowań ducha — zasady męskiej i żeńskiej — dziś sobie przeciwstawnych, które *Jutro Ludzkość stopić musi w Jedni: natchnienia, pieśni, mądrości i wiary, by zaobyc i opanować świat Wielkim Czynem Bezinteresownej Wszeludzkiej Miłości.*

Zdobywczym poszukiwaniom Męskiego Rozumu musi przyjść z pomocą *intuicja, Natchnienie, Uczucie i Jasnowidzenie kobiety.* Kobieta czysta i wyzwolona to nowy zupełnie typ — to czynnik dotąd nie znany, nieużytkowany w pracy postępowej ducha ludzkości, to Medjum pośredniczące między sferami — Kształtów i Bezkształtów. Ona jedynie „zetrze głowę wężowi“ złud astralnych i wyzwoli nowe zmysły bezpośredniego patrzenia w nurt Prawdy. Ona — przeciwstawienie symbolu Ewy, pierwszej matki rodu ludzkiego — Ewa Zwycięska.

Wiedza tajemna starożytności i magja świętyń do dziś praktykowane w misterjach Wschodu, nie zdolne są przekroczyć

zamkniętych bram astralu — i dlatego wszystkie te nauki obracają się od wieków jedynie w sferze obietnic. Najwięksi nawet Wtajemniczeni nie przynieśli istotnej Prawdy ni Siły — widzieli oni bowiem tylko jej odbłask w zwierciadle Światła Astralnego.

Droga do Światów Ducha — klucz otwierający drzwi Boskiej Magii, to Krzyż Chrystusowy — jedynie wielka — niezrozumiana dołąd tajemnica tego najnowszego i najgłębszego Objawienia, powierzona pierwszym wyznawcom i apostołom Chrystusa tak cudownie pojmowana i wyłożona przez naszych Mesjanistów narodowych. Wiedzą o tem czarni magowie — przedstawiciele lucyferycznego kierunku ewolucji świata i w od wieków toczącej się podziemnej walce przeciwdziałają rozwojowi Idei Chrześcijaństwa, która dopełni się dopiero wtedy, gdy świat Chrześcijański stanie w zupełnem wyodrębnieniu i przeciwstawi się materialistycznemu kierunkowi obecnej cywilizacji.

Musi się serce ludzkości, jak serce tej niewiasty ugiąć i unieść w promieniach blasku płynącego z Krzyża Chrystusowego, który wszystkie dotychczasowe egoistyczne w niem dążenia i umiłowania na proch zetrze i na popiół spali — by weń, jak w kielich próżny i oczyszczony spłynęła *Łaska nowych Uświadomień i nowych cudotwórczych Mocy Wszechobejmującej Bezosobistej Miłości!*

Idźcie więc w świat bliski i daleki wy myśli i pragnienia, ty przęzao uczuć i ideałów nowoczesnej rozbudzonej i Duchem Bożym natchnionej duszy Niewiasty! Budźcie Ducha mężczyzny i kobiety do Czynu i pracy nad wykrzesaniem i wypięastowaniem Anielstwa w duszy człowieka!

W imię Boże!

Józef Chobot, wydawca.



Sfinks i Krzyż.

Żaden szlachetny o Kriszno
nie idzie drogą do podziemi.

Bhagawad-Gita.

Niewiem czem ty jesteś...

Są chwile, gdzie zdaje mi się, że jesteś moim Snem — i wtedy oczy moje błędzą w przestrzeni wyglądając w niej zjawy oblicza twego, która zwiewna jest i błękitna jak mgła drgająca między nocą a świtem.

Czasem widzę cię zawieszoną nad mą duszą jak ptak biały — czuję dotknięcie miękkich piór twoich skrzydeł i moc ich czuję nad sobą, która porywa mię do wzlotów.

Wtenczas nazywam cię mojem — Natchnieniem...

Czasami, gdy mię owionie poezja czaru, jakim tchnie twoja istota, który jak haszysz upaja i podnieca — mówię tobie...

— Ty jesteś Pieśnią mojej duszy...

Gdy jednak wpatrzę się w rysy twoje — i w rysy twego ducha, i gdy utonę w skupionym blasku twoich źrenic, wpadam w bezdeń niezgłębioną tajemnic, w których czytam niewyczerpane bogactwo runów i hieroglifów, jakie wykuwał duch kreślący drogi myśli człowieczej przez eony wieków.

Wtenczas chcę czytać i czytać — i mówię tobie...

— Tyś jest moją Mądrością...

Lecz, gdy podniesiesz powieki i tryśnie z oczu twych słodycz niewypowiedziana uśmiechów, dobroci i pieśczoły — mówię ci...

Tyś Miłością mego ducha...

Wtenczas ty opierasz głowę na piersiach mych i szepcesz...

— Chcę być Beatryczą twoją — wieść cię przez tajemnice piekła i czyścia ku niebu — chcę iść z tobą szukać Boga...

Gdy słyszę to, moc wstępuje we mnie — chylę ci do stóp moją duszę i proszę:

— Stań się moją wiarą!...

Na te słowa oczy twe promieniają, cała surowość i ogrom tego zadania wytęża się w ich spojrzeniu — przebogactwo pragnień rozpiera piersi...

Zamało ci rządzić sercem mojem, umysłem i duszą — chcesz rozbłysnąć jako gwiazda na wsze strony — chcesz dzielić się duchem swoim i moim jak chlebem mszalnym i mówisz:

Chcę stać się Czynem twoim!...

Porwał mię wir szalony gigantycznych tarć i niebosięźnych szybowań, jakie zakreśla glob nasz w swych ewolucyjnych obrotach.

Połąmały się linje proste ludzkiej myśli, pokrzyżowały i splątały w sieć nierozwikłaną.

Huragan czasów strącił z piedestałów wszystkie posągi bożków i bogiń i nowe rzeźbić każe ludzkości tego globu.

Wyciągają się do tej pracy setki rąk — i moje słabe, choć miłujące dłonie, ująć chcą topór i dłuto.

— Co rzeźbić chcesz? — pytasz.

— Posąg ducha epoki... Zbiorowy impuls i woła ludzkości wskrzesić chce pradawne, zdruzgotane ołtarze, których bóstwa nie umarły, lecz śpią w podziemiach, oczekując aż je rozum człowieka pozna, odszuka i zbudzi.

— Jaki kształt dasz twemu posągowi?..

— Kształt dawny i znany — bo czyż istnieje coś nowego pod słońcem?... Kształty wszechrzeczy to myśli Boże zakłętę w twory przyrody, lub w natchnienie człowieka. Są to symbole hieroglifowe prawiecznego pisma, nad których odczytaniem pracują wszystkie wieki.

Jesteśmy bliscy rozwiązania zagadki Sfinksa, która jest tak starą jak narodziny myśli na ziemi, a która istniała dotąd tylko w podziemiach magów kryjących ją zazdrośnie przed wzrokiem świata. Wiek nasz wydrzeć im chce to bożyszcze i posiąść siły w niem ukryte.

Gdy wyrzeźbimy na nowo posąg tego kolosa i tchniemy weń życie, jakie płonie w nas przez lat dwa tysiące i rozpala serca nasze pragnieniem czynu i tęsknotą ideału — wchłonimy w siebie wszystkie jego tajemnice.

Poznamy wówczas cel istnienia i posiadziemy władzę nad wszystkimi siłami ziemi i nieba — staniemy się panami wszechświata. To jest posłanictwo wieku...

— Czy chcesz powierzyć mi współdział w swojej pracy — czy chcesz ze mną wędrować po drogach zasypanych ruinami wieków, czy chcesz, abym ci przyświecała latarką przeczuć moich i snów, w których widzę czasem źródła pod ziemią bijące?..

— Chcę -- chódź ze mną... Jesteś przecież moim Snem, a we śnie tylko mogą nam być wskazane drogi do tych podziemi ukrytych.

— Nie widzę tu dróg żadnych... wszystkie krużganki zasypane, wszystkie bramy zamurowane... niema wejścia do tych podziemi... Chyba wznieść się na skrzydłach, w górę i tam

podstuchać rozmowę wielkich duchów, — budowniczych światów, którym powierzone są tajemnice dziejów na globach... może stamtąd przyniesiem klucz do otwarcia tajemnych krążganków Sfinksa...

— Dobrze, nieś mię na skrzydłach twych — wszak jesteś mojem Natchnieniem. Wtenczas pogrążyłaś się w milczeniu — czułem, że wsłuchujesz się w szepty genjuszów gwiazd, które zawieszono na promieniach tęsknoty swoich światów prowadzą wśród nocy rozszrebrzonej ciche, tajemne rozhowy.

— Czy znacie tajemnice Sfinksa?...

— Każdy glob ma swoje własne zagadki — Sfinks jest budowniczym samozwańcem — stoczył w przestrzeniach bitwę z archaniołem Michałem — prawym twórcą tego globu i posiadał niektóre z jego tajemnic.

— Chcę poznać te tajemnice...

— Wywołaj ducha jego — niech ci wyśpiewa pieśń swoją — odkryje zagadkę zaklętą w kamienne jego kształty.

— Oto jesteś!... — zawołałaś — kolos olbrzymi twego cielska rozparł się na zczerniałym od wiekowego trwania piedestale, głowa twoja na ciele byka wznosi się na tle ciemnego nieba, a oczy patrzą nieruchomie — wciąż, przez wieków tysiące. Piersi twoje mlekiem macierzyńskim nabrzmiały, lwie pazury — i skrzydła gotowe do lotu...

Co oznacza twoja zagadka?...

Czy słyszysz co Sfinks odpowiada?... Spiewa pieśń swej tajemnicy...

— Spiewaj z nim — powtórz mi każde jego słowo — wszak — jesteś Pieśnią mego życia!

— Jestem symbolem symbolów... ciało moje to przyroda — gleba ziemi. Jestem zagadką Człowieka. — Czoło moje jednak rozszerzyło się i podniosło w górę, by pomieścić w sobie cały ogrom rozwoju ludzkiej myśli. Oczy me zadumane, wpatrzono w słońce pustyni szukają głębokich kojących cieniów wiekuiestej oazy, pośród których spocząć pragnie przez wieki strudzony wędrowiec. Piersi moje macierzyńskie pragną karmić i poić siłami ziemi — lwie pazury przeć się ku zwycięstwu na ziemi i niebie, pokąd skrzydeł moich unosić chcą loty.

— Czy dotrzymałeś obietnic twoich?... Co dałeś światu?...

— Jestem tajemnicą tajemnic... posiadam wiedzę prastarą Atlantów daną im przez ojców rasy księżycowej, którzy rzucili nasiona myślenia... klucz do moich podziemi przynieśli do Egiptu rozbitki potopu w Atlantydzie i on to otwierał drzwi tajemne świątyń kapłanów i magów starożytności, z których i Mojżesz czerpał wiedzę genezyjską, tajemnicę drzewa złego i dobrego.

Odemnie pochodzi wiedza wiedz wszystkich zawarta i ukryta w księgach kabbaly. Czy znasz alfabet władz tajemnych, jakie uczy zdobywać ta księga?...

— Nieznam — naucz mnie, niech je obwieszczę światu...

— Aleph — kto umie wymówić tę literę — widzi Boga twarzą w twarz i rozmawia ze siedmioma genjuszami, którzy stanowią straż nieba.

Beth — Ten jest ponad niebezpieczeństwem i trwogą.

Ghimel — Ten panuje nad niebem i każe sobie służyć piekłu.

Daleth — Ten rządzi zdrowiem i życiem swoim i drugich.

He — Ten jest niezwalczony i nie boi się nieprzyjaciół.

Yau — Ten zna tajemnice przeszłości, teraźniejszości i przyszłości.

Zain — Ten posiada władzę wskrzeszania zmarłych i klucz nieśmiertelności...

— Lecz powiedz mi, skąd ty pochodzisz, jaka geneza twoja?

Zrodziłem się z buntu i pychy archaniola światłości, jednego z wielkich budowniczych światów, który wolę własną przeciwstawił woli Stworzyciela i za to glob jego został strzaskany. Spadł on na ziemię i na niej trwa, stanowiąc pierwiastek twórczy — ruchu, walki, zmagai, sprzeciwu, ciekawości i postępu. Nazywają go Wielkim Zbuntowanym, bo odrzucił cześć Boga, na którego miejsce postawił — Człowieka.

Odrodził się w pierwszym synu Ewy — Kainie, którego porodziwszy rzekła: — Urodziłam — Człowieka — Boga.

Wybrał on odrębną — sobie właściwą drogę pychy, krytyki i nienawiści, a że ofiary jego składane bez miłości i pokory zostały odrzucone, zabił ze zazdrości brata swego Abla, sądząc, że zabije w nim kult Boga prawdziwego.

Odrzucony i przeklęty — ujął w ręce swoje rozwój sił materialnych tej ziemi. Wszystkie dzieła przemysłu, handlu, sztuk, wynalazków i sztuki — jego zawdzięczamy pokoleniu.

Wnuk jego Tubalkain — pierwszy użył kruszców i ukuł młot jako broń i z miedzi i żelaza wyrabiać zaczął naczynia. Siostra Tubalkaina Noemi była pierwszą prządką, syn Jubal śpiewem ptaków nauczony pierwszą pieśń zaśpiewał światu, a dorobkiem nieustannym dzieci jego wnuków i prawnuków powstawały miasta i grody, budowle zamków i świątyń, wieże i piramidy. Jego to szczep rozrodził się w pokoleniu Sema, które przeznaczyłem do spełnienia największej zbrodni świata i na siewcę nasion moich do końca istnienia globu. Ja, myśl jego, — i symbol jego idei — rzuciłem plan budowy wieży babilońskiej dla przeciwstawienia Boga materialnej potęgi. Ja byłem twórcą bożków i fetyszów, z którymi przez cały ciąg

dziejów pierwotnych walczyli mędrcy i prorocy. Ja byłem natchnieniem Hirama, który okultne tajemnice przyniósł z tajemnych świątyń Tyru i wmięszał w czysty rytuał Melhisedechowy święcony w świątyni Salomona. Ja rozniosłem po całym świecie kult astralnych bóstw, które są siłami państwa zbuntowanego anioła, bo wyżej ponad swe otchłanie nie wznosił się i nie wzniesie nikt za moją pomocą.

Ja byłem złotym cielcem na pustyni, zakonem faryzeuszów i saduceuszów, których pycha i materializm przeciwstawiały się pobożności i pokorze zakonu Eseńczyków, z którego wyszła rodzina Mesjasza i uczniowie Jego. Przemennie została spełniona Zbrodnia Golgoty, bo poznałem, że tam powstają moce nieprzemожone, z którymi jednak walczyć muszę do końca świata.

Widzisz więc, że symbol we mnie zawarty to jabłko Ewy, to lampa Psychy, to ogień Prometeusza, to berło płomienne Lucyfera... Zadrzałaś... lica twe pokryła błądźcość...

— Nie tych tajemnic szukamy — rzekłaś — drząc ze wstrętu i trwogi. Gdzie jesteś o Prawdo Ducha?!

— Nie ustawaj, zaczekaj — prosiłem — chcę zadać jeszcze pytanie.

— Zostałeś winny odpowiedzi... Czy dotrzymałeś obietnic twoich... — co dałeś światu?...

— Rzuciłem w głąb ziemi tej nasiona żądzy, dałem impuls niewyczerpany dążeń i poszukiwań i płomień wiecznie trawiącej ciekawości i tęsknoty umieściłem w urnach opalowych, które są naczyniami ducha.

Jestem twórcą przedmesjanicznych misterjów, które w mego imperjum wkraczały dziedzińy, gdy zaklinały siły potężne, istności o władzach twórczych i niszczycielskich dla dobrych i złych czynów na usługi świata, bo ja uświęcam wszystkie środki i drogi wiodące do mego Królestwa.

Jestem przedmiotem kultów bachicznych, misterjów babilońskich, asyryjskich, greckich, do dziś dnia jeszcze spełnianych w kultach wschodnich boga Sziwy i bogini Kali. Mnie to czczono pod postacią potwornej Androgine i czarnego kozła w bachanaliach Dionizosa i Astarty. Czy nie widzisz tego obrazu?...

— Widzę... to noc przed gontyną... Księżyc schował się pod oponę czarnych postrzępionych chmur, ale gwiazdy zostały i zygakiem złotych swych ciał przecinają ciemny nieboskłon jakby w tańcu zawrotnym oszalałe... Ptaki olbrzymie przelatują nad głowami... wśród ciszy słychać szelest niesamowity ich skrzydeł... Tam ze szczeliny skał wąż wypełznął, tu znów świecą w ciemności jakieś błyszczące oczy...

W gontynie mrok i zaduch, palą się zioła upajające... zaczyna się święto Bachanalji... Kapłanki Astarte w wieńcach z

liści winogrodu przyjmują od matek dzieci przyniesione na ofiarę tej strasznej agapy... Wszystko tłoczy się, rozpycha, aby widzieć krew płynącą z ciałek niewinnych ofiar, która służy za pokarm wampirycznym — niewidzialnym istotom...

Nagle dreszcz przestachu wstrząsa tłumem...

Oto On! Oto On! wołają zdławione głosy.

— Patrz teraz i słuchaj — ale strzeż się, abyś nie uczyniła znaku krzyża.

— Księżę tego świata przybywa, zasiada na ołtarzu pod symboliczną postacią człowieka, zwierzęcia, mężczyzny i kobiety.

Podczas tego zapalają ogniska — odurzające aromatem ziola, płoną wraz z ludzkimi pragnieniami... Zaczyna się uczta... wino leje się po białym obrusie i zostawia plamy podobne do krwi... ciche szepty zmieniają się w okrzyki wyuzdane, wybuchy śmiechu, szamotanie się... uściski... pieszczoty...

Wszyscy są pijani winem, rozpustą, zbrodnią...

Nagle, zrywają się... robią koło magiczne... Zaczyna się Misterjum Sabatu...

Cóż to?!... Zjawiają się jakieś straszne monstra i potwory... widma i fantomy, smoki i jaszczury olbrzymie... wilki i hyeny... mieszają się z tańczącymi!... Kolo się rozrywa... zjawy znikają... tancerze porywają tancerki, światła gasną... tylko żądza ludzka i grzech świecą w ciemnościach!...

Gdy zabłysła nad ziemią gwiazda przezemnie przepowiedziana i poszli za blaskiem jej maluczcy — i wielcy, niektórzy zeszli ze swoich wież, gdzie znaczyli obroty światów — tajemnice moje skryły się w cień, bo gwiazda w krzyż przemieniona rozlewała taki blask oślepiający, że zjawy te nikły i rozplywały się jak kłęby dymu w świetle słońca...

Nie wolno im było wyjść na światło dzienne... musiały zejść do podziemi, gdzie do dziś dnia się ukrywają... Potem, przez wieki całe zwracałem ludzkie spojrzenia w stronę ukrytych w podziemiach kultów, chcąc je wskrzesić w dawnej świetności. Pod moim rozkazem powstawały sekty, które usiłowały pogodzić nowe idee z dawnymi — kult Boga z kultem Człowieka — lecz nadaremnie... Pod promieniami słońca w zenicie blasku fantomy przeszłości kryły się w cień jak nietoperze...

— Z ponurych ciemni wypełzła moja wiedza do zamkniętych krypt klasztoru Templariuszów na wschodzie. I na zachodzie ujmowały ją dłonie skwapliwe, ukrywając ją w laboratorjach alchemików, w pracowniach tajemnych hierofantów, teurgów, nikromantów, których dusze kołysałem obietnicami zdobyczy nadludzkich sił i środków do osiągnięcia bogactwa i władzy nad światem.

Ukazywałem im mirażę zdobycia kamienia filozoficznego, medycyny uniwersalnej, transmutacji — przemiany metali, kwadratury koła, siły wiecznego ruchu, nazywając to Wielkim Dzielem. Mówiłem im: że dam im władzę, zapomocą której jeden człowiek mocen jest podważyć i zburzyć porządek, na którym spoczywa byt świata i przekształcić wedle woli swej oblicze ziemi. Że będą mogli zamieniać wiosnę w jesień, lato w zimę, czynić z dnia noc a z nocy dzień; wiedzieć co się dzieje na drugim końcu świata, z jednej półkuli na drugą posyłać wieści i przyjmować odpowiedzi, leczyć chorych, wskrzeszać zmarłych, lub zabijać jednym wysiłkiem woli, panować i rządzić wszystkimi sprawami i wypadkami całego globu.

I to jest właśnie siła ta, którą kazałem czcić starożytnym w misterjach sabatu, Templerjuszom pod hieroglificzną figurą Bafometa, czarnego kozła Mandów, okrutnego Sziwy Hindusów.

√ To Jestem Ja... Wąż Genezy...

— Lecz nie odpowiedziałeś jeszcze na moje pytanie... Czy dotrzymałeś obietnic twoich?... Co dałeś światu?...

— W imię moje odłączyła się jedna fala wielkiej rzeki ludzkości i wyłobliła sobie głębokie, podziemne koryto; uniosła tam ze sobą wszystkie moje dawne bożyszcza i symbole i idol Wielkiego Działa postawiła na odbudowanym z ruin ołtarzu. Dałem im nazwę Wolnych Budowniczych, bo posłannictwem ich jest burzenie wszystkich gmachów, twierdz i świątyń, jakie stawia przeciwnik mój, nowy sybol — mętny i niepojęty Znak Krzyża; i na gruzach ich odbudowanie moich gmachów twierdz i świątyń, na których ołtarzach jako Bóg czczony jest — Człowiek...

Fala rzeki ich drażyła się we wnętrznościach ziemi coraz szerzej i dalej i wysysała wszystkie jej soki, przetwarzając w laborjatorjach swych ukrytych na przetwory chemiczne moim służące sprawom.

Powolałem do współpracy w mem Wielkim Dziale niegdyś przez Kaina poświęcony memu symbolowi, dziś wydiedziczny i prześladowany naród, który stał się z czasem główną sprężyną i osią wielkiej przewrotowej idei — Budownictwa Świątyni Ludzkości.

W podziemiach ich wskrzeszone zostały zapomniane misterja moich kultów, za których sprawowanie obdzielam ich czasem darami moich królestw, o które modlą się do mnie dusze spragnione dóbr doczesnych i władzy — przez tysiące wieków.

W zamian za to każę im rzucać trujące ziarna we wszystkie czyste źródła, wsłuchiwać się w poszept modlitwy, pragnienia, dążeń i ideałów ludzkich, których przeciwnik mój jest

twórca i celem i stwarzać potężne myśli — istoty, które wciśkają się wszędzie niewidzialnie, by kłaść to co czyste, obniżać co wysokie, banalizować co otoczone nimbem świętości i autorytetu; bo silniejszym przeciwnikiem jest wróg chytry i ukryty, niż ten co staje do walki z otwartą przyłbicą.

Wysłańcy moi biorą udział w całej pracy materialnej i duchowej globu, trzymają dłoń na pulsie świata, w rękach swych dzierżą wszystkie jego ukryte sprężyny. Rzucają najwznioslejsze hasła, podszywają się pod idee humanitarne równości, wolności i braterstwa, miłosierdzia i równych praw obywatela i człowieka, nie dlatego, aby je spełniać, lecz aby rzuciwszy w serca ludzkie ziarno niezadowolenia i nienawiści, krzyżować i plątać trudne wysokie drogi postępu.

Rzeka ta podziemna płynie, sączy się, nurtuje jak krew w żyłach ludzkości, pulsuje w tętnach życia rodzinnego, kultury, sztuki, polityki, religii — tworzy sekty, zreszenia, kierunki, partje, kierując niespostrzeżenie ich ruchami, nie oszczędzając nawet konsyliów i soborów duchownych i conclave.

Z mojej woli cały plon, jaki wydało ziarno gorczyczne przeciwnika mojego, rzucone na głębę tej ziemi, został skarłony, zbanalizowany, zmniejszony, sprofanowany, odarty z glorii i pozbawiony promieni.

Z moich to podszeptów zakapturzeni mnisi palili na stosach, lub topili sekciarzy, medja i czarowników, których kusilem złudnemi wizjami moich królestw, by obniżyć autorytet zastępców Przeciwnika.

Ja byłem przez wszystkie wieki twórcą wojen, rewolucji, morderstw politycznych, ja byłem sprawcą rewolucji francuskiej i wszystkich późniejszych wrzeń i zamieszek i dzisiejszej Wielkiej Wojny, rewolucja rosyjska to moja Synteza.

Mnie to uczyła Rosja gigantycznym posągiem Judasza, bo ja jestem upostaciowaniem niższych sił kosmicznych Egoizmu materialistycznego kierunku ewolucji globu, a zarazem ogniem probierczym, w którym szeregiem zwycięstw spala się człowieczeństwo wasza w łańcuchu przemian od zwierzęcia do anioła.

Ale te siły, które czynią człowieka Bogiem świata, czy je otrzymał kto za twoją pomocą?

Przezemnie otrzymać można tylko siły świata astralnego, te posiadają nieliczni z wybranych w Azji i Europie, lecz im nie wolno wyjść z podziemi na Światło... bo Ono...

— Cóż ci to?! Ty się mienisz... na oblicze twe pada łuna... oczy podnoszą się ku górze z wyrazem przestachu i zachwytu... ty się słaniaasz... klękasz... Co ty widzisz tam w górze?... Ach to już urok się przesilił... świt się przedziera przez chmury.



— Tak, w blaskach rodzącej się jutrzni rozwiewa się straszne widziadło... znika potworne cielsko kolosa, staje się coraz bledsze... bledsze... A światło zorzy wyrzuca z siebie słupy ogniste, które wytryskają we wszystkich kierunkach świata... tworzą cztery ramiona...

— Wywołaj ducha Krzyża — mówią Wielkie Istności — On ci wyjawi wiekuiste Słowo, w którym jest zamknięta Mądrość Wszachbytu.

— Pytaj Go i powtarzaj mi słowa Jego — wszakżeś ty Mądrością mego ducha.

— Jam jest Drzewo Wieczności; zrodzone z przebudności Sił Miłosnych Pierwszej Przyczyny Bytu — po mnie jak po schodach z kości słoniowej zstępowały szeregi archaniołów, aniołów, cherubinów, serafinów, moce, trony i chwały wytrysły jako promienie z łona Trójcy, gdy pierwszy dźwięk słowa rozległ się wśród Nocy Milczenia.

Ja jestem rajskim Drzewem Żywota przeciwstawiającem się Drzewu Wiadomości Złego i Dobrego, które za wolą Bożą wznosił Nieprzyjaciel na środku rajcu.

Jestem Obietnicą Odkupienia, której spełnienia oczekiwała ta ziemia przez wieki modlitwy i tęsknoty.

Symbol mój wieczysty jest bez początku i końca, bo oznacza — Nieskończoność.

Podnóże Moje wrastające w ziemię daje życiu oparcie a Prawa Ducha, łączność nieustanną ziemi z niebem i pomoc walczącym na globie. Uświęca życie ciała, w głąb ziemi niosąc błogosławieństwo swego Symbolu.

Wznosząc się w górę najwyższem ramieniem przecinam mgły i męty astralu, wystrzelając ponadnie wprost w sferę Boskiego Świata. Jestem drabiną Jakóbową, po moich jedynie szczeblach wznoszą się duchy w asyście sił archanielskich pod stopnie Bożego Tronu; kto na nie wstąpi, nie dotknie stopą swą świata pośredniego, Królestwa widm i fantomów i mar zwodniczych kłębiących się w cieniu Berła Lucyfera — bo ja przyszedłem zakłąć mary te w otchłani, które dziś zła Wola Nieprzyjaciela znów z podziemi uwolniła.

Ramiona moje rozpostarte horyzontalnie jak konary olbrzymiego drzewa pokryły glob ten gałęziami wiecznie zielonymi mej opieki. W cieniu mych liści sen cichy pokrzepienia utuli znużone wasze głowy, a na gałęziach moich ptaki rajskie — dusze skrzydlate genjuszu i natchnienia więc mogą bezpiecznie swoje gniazda.

Rozpościeram ramiona me zarówno w lewą jak i w prawą stronę świata, by łaskę mą i miłość rozprzestrzenić nad wszystkimi głowami.

Prawe moje ramię — to Ramię Chwały — ogarnia ono tych wszystkich, którzy przynieśli znak mój w swoim sercu i poszli bez wachania śladami mymi. Utulam niem duszę Marji-Dziewicy Matki Mojej, apostołów i uczniów, świętych wyznawców i męczenników — i tych wszystkich, którzy uwierzyli i hasłem życia uczynili Imię Moje.

Lewe jednak moje ramię, to ramię Serca i Przebaczenia — wyciąga się ono z taką samą Miłością nad głową żalującego łotra, Magdaleny, Tomasza, który zważył, syna marnotrawnego i tych wszystkich, którzy pragną mnie i szukają w spiekocie błędzeń i trudzie myśli swych i ducha.

Jestem Drzewem Wolności, bo przyszedłem skruszyć wszelkie kajdany krępujące swobodny rozwój ludzkiego ciała i niekrępowany najszerszy lot ludzkiego ducha, bo kto pragnie znaleźć Mnie i szuka, ten znajdzie, kto Mnie znajdzie po trudach krwawych błędzeń i tęsknoty, ten we Mnie już utonie na wieki i między anioły światłości wprowadzę płomienną jego duszę.

Jestem Drzewem Światła — kwiaty — które rodzą — to gwiazdy coraz nowszych zdobyczy ducha i coraz jaśniejszych i głębszych uświadomień. Królestwo moje tonie wiekuiście w promieniach słońca niezachodzącego, bo cień i mrok — to imperjum mego Przeciwnika. We mnie wszystko jasne dla oczu otwartych do widzenia; dla tego wrogiem moim jest wszelka ślepotą wiary, autorytetu, zaciemniania oczu przepaską strachu, ślepego posłuszeństwa, dogmatyzmu nie wyświełtlenego promieniami Prawdy.

Jestem Drzewem Postępu — bo gałęzie me to stopniowe etapy coraz wyższego rozwoju sił duchowych, choć i poznania — a korona moja to Absolut Doskonałości, który czyni człowieka podobnym Bogu.

Jestem Drzewem Miłości — owoce Moje to pokarm wiekuisty dla serc palonych głodem ofiarowania siebie w akcie ekstazy. najwyższej miłośnikowi bez plamy i skazy. We mnie jest symbol Miłości przemienionej, przeświełtłonej, niepokalanej, wszechobejmującej, która zbawia i daje duszy wszechtwórcze siły — kto je posiędzie — zdobędzie wszystkie te tajemnicze moce, jakich zdobycie obiecuje Śfinks — ba kto w imię moje potrafi się niemi posługiwać...

Zobaczy Boga twarzą w twarz i rozmawiać będzie ze siedmioma aniołami, którzy stanowią straż nieba.

Wzniesie się ponad wszelkie niebezpieczeństwo i trwogę. Otrzyma pomoc niebios i porazi i złamie siły piekła.

Osięgnie władzę nad swoim ciałem, zdrowiem i życiem i drugim potrafi wracać zdrowie i wskrzeszać w imię moje.

Żaden nieprzyjaciel nie będzie mu mógł uczynić nic złego. Posiadzie wiedzę zupełną przeszłości, terażniejszości i przyszłości.

Osiągnie żywot wieczny, gdy z całunów egoizmu materji potrafi wskrziesić siebie.

Ja jestem Drzewem Krwi Ofiarnej, krople jej sączące się nieustannie z gałęzi moich są pokarmem ziemi tej — która, gdyby wyschły jej strugi, stałaby się łupem Nieprzyjaciela. Dlatego otworzyłem siedem źródeł, z których czerpać macie na pokrzepienie sił do walki nieustannej z wrogiem zamkniętym w podziemiach duszy waszej i duszy świata.

Ze mnie popłynęły strugi Jordanu, by zmasać wszelki ślad grzechu Edenu chrztem wody i chrztem ducha. Ja uświęcam siedmioma Misterjami Połączenia wszystkie etapy życia człowieka od kolebki do grobu. Z moich ramion litośnie rozwartych płynie wiekiście Łaska oczyszczenia powolnego urn waszych ciał spaleniem w nich, jak na ołtarzu ofiarnym, płonu pychy i samolubstwa w akcie skruchy i pokory.

Na mojem drzewie spełniło się najwyższe Misterjum Golgoty, które odnawiane codziennie na wszystkich ołtarzach ziemi, utrzymuje ją w nieustannym kontakcie z siłami Łaski Bożej, na których spoczywa ład i równowaga i ugruntowany jest rząd Ducha na globie. Obdarzyłem znamieniem niezmytem urząd kapłański, ustanawiając w nim sieć niewidzialną przewodów duchowych, łączących duszę ziemi z duchem Bożym. Uświęciłem związki serc i ciał człowieczych, by w łasce Błogosławieństwa schodziły duchy ze sfer niewidzialnych na pokutne pielgrzymki i powrót ich zasilam datkiem uświęcającym, by w pokoju i pojednaniu odchodziły na wiekowy spoczynek.

Ja jestem Makrokosmem — Wszystkość Wszechświata mieści się we Mnie, a Ja w niej, dlatego nic małego, mętnego, połowicznego niema wagi przed obliczem Mojem. Hasłem Mojem „Wszystko albo nic” — „Bądźcie zimni albo gorący, bo letniego wypłuję z ust moich.” Dlatego nie dajcie się kusić podszeptom Nieprzyjaciela, nie wiążcie skrzydeł orłom, które rwą się do nieznanych lotów, bo to posłańcy torujący drogi Mojej myśli coraz szersze zataczającej kręgi. Nie palcie na stosie proroków postępu, nie gaście świateł, które blaskiem rażą wasze oczy, nie włączajcie w okowy formy Płomie Moje, które rosnąć ma i rozsadzać formę, by wypełnić sobą — Nieskończoność.

Jestem Drzewem Zmartwychwstania — który to akt wracając Mnie na łono Trójcy, otworzył zamknięte dotąd bramy oddzielające świat kształtów od światów czystego ducha. Tam czekali na Mnie Patryarchowie i Prorocy, wtajemniczeni Mędracy i Archaci, bym wprowadził ich przez owe stopnie ofiarą moją

ziemi tej przywrócone do Królestwa Aniołów, skąd się już na ten glob nie wraca.

W Misterjum tem starty się, zestrzeliły się jak w przecięciu ramion Moich wszystkie najsprzeczniesze linje ludzkiej myśli, serca i ducha — droga wiedzy i wiary, rozumu i uczucia, inwolucji i ewolucji i stopiły w Syntezie — w Jedni Bytu, która jest Bogiem. Bo w nim rozwiązane zostały wszystkie zagadki i spełnione wszystkie pragnienia, które jak rakiety ogniste żądz i tęsknot ras starożytnych uderzały o kamienny cokół Sfinksa. Gdyby była wówczas odgadła Ziemia znaczenie Misterjum tego i spełniła doniosłe jego wskazanie — stałaby się już Królestwem Bożem — Jedną Owczarnią pod berłem Jednego Pasterza.

Jestem Drzewem Zwycięstwa -- zstąpiłem tu, by zwyciężyć śmierć i czas i zostawić wam siły do skruszenia i stopienia w Jedno wszystkich ogniw kolejnych powrotów duchów waszych dla skrócenia bolesnej drogi cierpień, błędzeń i poszukiwań. Dlatego w ofierze krwi wysączyłem do ostatniej kropli człowieczość moją. Nie wejdzie więc na stopnie me, kto szeregiem walk zwycięskich, lub nagłym aktem samopalenia nie wysączy dla mnie swojej. — A siła ta, która stworzyła świat. odkupiła, rządzi i utrzymuje w ruchu — to Misterjum Miłości,

— Cóż to?!... Głowa twoja się pochyla... gorączką pragnienia palą się lica... oczy i usta suche są od ognia, co w nich płonie?!...

— Ach!... ogrom jakiś kruszy mię... przepała, unicestwia... Wszystko we mnie popieleje... próżnia staje się we mnie... która jak kielich przepętnia się... Miłością.

— Błagam cię, nie ustawaj!... mów dalej... Co widzisz, słyszysz, czujesz... Niech poznam przez ciebie cud — Misterjum Miłości — wszakżeś ty Miłością mego ducha!

Milczysz!... pozwól niech zadam jeszcze pytanie... Czemże ty jesteś?... I tamien czym jest — Sfinks?...

— Ja jestem siłą twórczą — on niszczyielską. Ja jestem Prawdą — on przeczeniem, Ja jestem Światłem — on cieniem — Ja jestem Siłą odśrodkową — on dośrodkową. Bo on jest żądzą — Ja Ofiarą — on pogrążeniem w materji — Ja z jej oków wyzwoleniem... On wniósł ideę ubóstwienia Człowieka na tronie wszechświata w miejsce Boga. — Ja Ofiarą Boga dla przywrócenia Człowiekowi utraconej Boskiej części jego. — A ponieważ niema we wszechświecie rzeczy nie objętych planem Bożym, obaj jesteście konieczni — on w służbie Czasu — Ja — Wieczności... Bo ja jestem strumieniem, który jedyny mocen jest ugasić żar pragnień, jakie on rozpala...

— Cóż więc pocniemy z posągiem Sfinksa, który odkopał Duch Epoki? Tyle rąk zмага się w trudzie, by odgrzebać go z namotu wieków — wskrzesić kult jego?...

— Zadanie jego ma się już ku końcowi. — Idzie Królestwo Ducha. — Czy nie widzisz aniołów — wysłańców Jego, jak w blasku glorii ich wychodzą z wnętrza ziemi wszystkie widma i upiory, by stopnieć na wieki w promieniach zorzy nowej epoki.

Patrz, otwierają się podziemia... z których wychodzą mętne cienie złudnych obietnic Sfinksa, by w świetle Jutrzni Prawdy wschodzącej okazać łachmany swoich kłamstw, wychodzą mary podziemne, dzieci nocy, które strojąc się w szczątki grubych ciał zrzucanych przez wyzwolone duchy udają zmarłe osobistości dla mamienia i opętania łatwowiernych.

Jest to jakby północna godzina święta sabatu, w której wszystkie monstra i upiory, widma i fantomy tłoczą się, by ożyć pozornym życiem w przeddzień grożącego im unicestwienia. Dlatego zrzuc z cokołu posąg Sfinksa — to próchno — to mara.

— Cóż ucznię, gdy go obale, gdzie zwrócę moje oczy?

— Tam — On ponad czarne chmury larw i upiorów otchłani wzniosł wysoko rozwarte ramiona. Zwyciężył chaos twórczych zmagani pierwszych dni i mrok krwawy średniowiecza i błędne zygzaki budzącego się rozumu i tępą obojętność i pograżenie w materji... I trwa ciągle na krzyżu swej ofiary — sam jeden — zawieszony między czasem a wiecznością — niezrozumiany, zaprzeczany, wyszydzany — dzierżąc nieużytkowany dotąd depozyt sił nieprzemierzonych i niespełnionych obietnic, o których ziszczenie nie upomniata się dotąd mroczna dusza tego globu.

I oto wyłania się z chaosu, mroku i błędzi Kryształ Prawdy — sypie się ziarno złote pszenicy ducha wyłuskane z plewy i kąkolu, coraz czystsze i obfitsze przebogactwem swej treści, by starczyło na pokarm duszy tej ziemi do końca wieków.

— Ale jak to rozeznać?... Skąd wiesz gdzie światło Prawdy, a gdzie złudzenie?

— Prawda? Wszak spłynęła ona ku nam z rozwartych ramion Krzyża w chwili objawienia nam Misterjum Miłości. Gdy skruszyła mnie i powaliła moc Jego, spaliły się w sercu mem wszelkie okrucy ja osobistego i w próżnię tę jak w kielich rozwarty sączy się kropla za kroplą... Łaska Bezosobistej Wszzechobejmującej Miłości...

Czy słyszysz jak bije serce me na wszystkich krańcach ziemi?... Tu zaczyna się Wiara...

— Słyszę... Błogosławionaś ty, któraś uwierzyła... i stałaś się Moją Wiarą...

— Dziś gdy w spiekocie ran ciała i ducha dojrzewają kłosa dusz i ponad uśpione łany podnoszą w tęsknocie swe czoła — czycha na żniwo to podstępny sierp Nieprzyjaciela. — Gdy uwierzyłeś... idź... — Stań się Czynem Moim...

Drogami Ducha.

Widzącą wiarę zdobądź sobie duchu
Widzącą wiarę.....
Niech cię nie nęka niewolnicza twoga
Odchyl kotarę,
Po której drzeniu i ruchu
Ślepo teraz zgadujesz, że się tam ukrywa
Moc wiecznie żywa.....
Przestąp tajemnicy proga
I twarzą w twarz oglądaj prawdę świata — Boga.
M. Konopnicka.

Pr o l o g

O myśli! Czyż skrzydła przypinasz i w loty się rwiesz niebosiężne — i jak wędrownica wieczna do drzwi zamkniętych kołaczysz — i u progu mrocznych, odwiecznych Świętyń stajesz zadumana...

Z bóstw zakrytych zazdrośnie chcesz zedrzyć zasłony — i przed każdego bożyszczka ołtarzem głowę pochylasz, nie dla czci, lecz — aby odczytać hieroglify runów prastarych na stopniach ich wyryte.

O myśli! Jak jaskółka wietrząca burzę wieczystego niepokoju twego zygzaki zakreślasz w przestrzeni, lecz nie danem ci jest jak owa ptaszyna wrócić z żerem w ciche swe gniazdo na spoczynek, boś jak piślę z gniazda wytracone — bezdomna.

Dola twa — wiekowe wędrowanie, a skrzydła twe śmiertelne są, bo je na progu poznania złamać będziesz musiała światłością wiekuistą rażona.

Lecz teraz tyś Pani jeszcze i Królowa na tym Globie rządząca, w tobie stygmat tchnienia Bożego i Bożego oblicza odbicie, dlatego słusznie korzy się przed tobą całe stworzenie.

Więc o myśli! Nie daj się przykuć, ani do roli żywiącej, ani do ciszy i wygody domowego ogniska, ani do skarbów, szczytów i sławy — nie uniażaj się ukochaniem tego, co już zbudowałaś!

Lecz jak orzeł głodny na rozpadlinach skał krwaw skrzydła twoje, bo w zdobyczach twych jedyna tej ziemi nadzieja, a nie ma dotąd większej, nad ciebie potęgi.

O myśli! Ponad przepaście nieskończonego wieków pochodu lecisz w wyż, by w nienazwanych — okiem niedojrzałych źródłach poić twe wyschłe pragnieniem wargi.

I oto ty wąty płomyku, wracasz stamtąd w królewskie, przyodziana szaty, trójząb promieni oświeca czoło twoje, a dłonie dzierżą piorunów błyskawice.

Wolą się stajesz...

Płomień z oczu ci bucha i wątlą pierś ludzką na głównię rozżarza, ramię ku czynom prężąc, by jako młot na skałę opierającej się spadały materji.

W ramiona twe na krzyż rozpostarte bierzesz przeszłość i terażniejszość, w słońca przyszłości Bożej spowijając je promienie.

Bo już nie pragnieniem płoniesz ty i nie modlitwą, lecz wolą — i chociaż światło owe samotność dotąd wносиło w ludzką pierś i męczeństwo, ty się nie trwożysz — i na ruinach Świątyń ty się nie smucisz, ani za zdeptanem ziarnem Bożem we łzach nie grzebiesz w popiołach.

I chociaż wieki całe tarzania się w prochu jak lawina spadną na ciebie, by blask twój w kurzawie swej pochłonać — i węzami strachu i względów — spłowiąłą świętością tradycji zbutwiałyłch form spętać cię usiłują — ty się nie cofniesz...

Bo wiesz, że słowo płomienne Ducha nietylko czynem jest, lecz czynu wiekowem zarzewiem, które na brzegi, wschodzących epok most zarzucą świetlany, choćby za most ten służyła pierś twoim paląca się płomieniem.

O ludzka pamięci!... Słaba ty jesteś i znikoma, dlatego ze drżeniem patrzysz, by nie utracić zdobyczy mózgu, tych ziaren złotych, których śpichrzem być winnaś, choćby przez krótki ciąg jednego żywota.

Nie ufasz swym siłom i ryjesz znaki swe na tablicach ceglanych i kamiennych, na grobowcach i obeliskach, na murach Świątyń i piramidach, w runach i hieroglifach, w księgach, rzeźbach i obrazach — byle od zagłady zachować swój dorobek — choćby cień swój zostawić jako znak nieśmiertelny, gdy wraz z mózgiem schodzić musisz do grobu.

Więc nie ciebie ja o pomoc wołam w pracy mojej myśli krwawej, gdy przez ciało postami osłabione promienieje inna pamięć — wspomnienie wiekowe Ducha.

W ten to obraz zamglony jeszcze i daleki wnika myśl sprawowana, wyęzając kruche swe skrzydła ku lotom stronim, w nieznanne i dziwne, wstecz wiekom minionym prowadzące drogi.



KSIĘGA I.

Wiedz mię o myśli! Przez mroki nieprzebite nocy Bożych, gdy w nicość upowite spały nieogarnione przestrzenie Nieśkończoności.

Gdy ponad Niebem tem zapłonęły twórcze słowa „Stań się“, głoski te w języki gorejące rozprysnięte złączyły się z chaosem, zapładniając łono jego twórczością nieskończoną.

Twórczość ta zwarta w sobie i jednolita odbiła się w Nieskończoności bytu jako Trójjedność: Potęga, Miłość i Wiedza — i napełniła cały bezkres Wszechświata niegasnącym blaskiem objawionego Ducha.

Z żarzącego się ośrodka, jak z jądra słońca widzialnego wytrysnęły snopy promieni i krążąc naokoło wszechwórczego ogniska, otoczyły Trójjednię Bóstwa pierścieniami Chwały.

Owe Koło Chwały rozprzestrzeniało się coraz bardziej, zataczając coraz szersze kręgi dookoła twórczego ośrodka, jak miliardy gwiazdnych pierścieni.

Z pierścieni tych wylaniały się szeregi świetlanych postaci — Archanioły, Anioły, Cherubini, Serafini, Moce, Trony i Chwały.

Chóry te anielskie, stanęły na złotych pierścieniach otaczających tron Boży i zawisły w niemym zachwycie jak chmura białych ptaków, skupiając się i oblegając wszystkie stopnie Bożego tronu.

Wtenczas nastąpiła chwila gdzie Stwórcy i Stworzenie zapatrzone w niezmacone swe piękno spoczęły w niemej ekstazie — w Jedności niezakłóconej wszystkiego, co w blaskach pierwszej jutrzni wyłoniło się z Wszechwórczego Łona.

Była to chwila doskonałej harmonji — cel i pierwowzór Istnienia, Alfa i Omega, początek i koniec Wszechrzeczy.

*

Nagle część anielskich chórów zatrzymała się w biegu wirujących kręgów i spoczęła w sobie, zatapiając się we własną swą piękność.

Wyłoniwszy się ze zwartych szeregów Jedności, poczuły własną swą moc i własną wolę.

Wszechwola rozdrobniła się na małe, oddzielne ogniska, Wszechmiłość, rozpierzchła w drobne okruchy, zapadła się w sobie.

Z Bożego Łona wytryśnięte płomyki zapatrzone we własną swą istotę, straciły z oczu świetlisty ośrodek i rozluźniły zwarte szeregi.

Głosy ich brzmiące dotąd wspólnym chórem z Trójjednością Bóstwa zakłóciły niezgodnym tonem, Wszechharmonję Bytu.

I widział Pan, gdy jako cień ukośny oddzieliły się od jasnych szeregów duchy zbuntowane.

Zastęp z przeświętego Łona wysuniętych iskier przybladł i zciemnił się jak srebrny obłok pyłem nawałnicy ziemskiej przytłoczony i wyłonił się na zewnątrz świetlanego koła.

Owo zatopienie się w sobie wydało owoc pychy i osobistej woli. Stworzenie mieniło się być jaźnią oddzielną od Stworzyciela — iskierka oddzieliła się od żywiącego ją ogniska, by wykrzesać z własnego swego łona równą tamtej Nieskończoność.

Jednostkowa wola zwróciła się przeciw Wszechwoli, jednostkowy rozum przeciw Wszechrozumowi i napełniły się ciche Przesławstwa gwarem wirów i walk zaciętych.

Mgławica ciemnych duchów uderzyła na jasne, skrzydlate zastępy...

Wtenczas ponad żywioł rozszalały uniosła się prawica Pańska i dokonała dzieła — jasne kręgi oddzieliły się od pozbawionych światła zbuntowanych aniołów.

Światłość oddzieliła się od ciemności.

Dobro stanęło po prawicy, a zło po lewicy.

I dokonał się dzieł straszny, od którego zadrżały posady Wszechświata i świetlane obszary pokryły się cieniem grozy.

Gniew Pański zawisnął nad głębiami, i była chwila gdy zdawało się jasnym wybrańcom Pana, że gniew ten wchłonie w siebie wytchnięte oddechem Miłości żywioły i znów snem wiekowym Nicość pokryje Przesławstwa.

I lecz oto, z ciemnych głębi jakieś blade płomyki podnoszą się ku górze, jakieś westchnienia trwożne i nieśmiałe, jak błędne ogniki odrywają się od czarnego morza buntu.

To skrucha i kajanie się pokutne niektórych niezupełnie jeszcze w mroku pychy pogrążonych szeregów.

Widzą to jasne, wierne Bogu Duchy i padają na twarz pod stopy Bóże w modlitwie gorącej, o łaskę dla braci zbłąkanych i hymny te przebłagalne jak dwa łuki świetliste, łącząc się ze sobą, zwartym pierścieniem opasują stopnie Bożego tronu.

W tejże chwili w samym łonie Świętego Świętych, powstaje walka. Gniew hartuje się na Wolę, a z Woli wylania się pośrednik między Gniewem a Wolą — Miłość — Ofiara.

Rubinowa wizja krzyża załśniła w Przestrzeni i w rozpięte szeroko ramiona ogarnia cały Wszechświat od krańca do krańca.

I oto wyciągają się litośnie ponad Stworzeniem dłonie, Stworzyciela i pryska mgła ciemna zasłaniająca słońce Bożej Miłości.

Przebaczył Pan duchom nawróconym, lecz za złamanie pierścienia Jedności, za zakłócenie harmonji, do jakiej powołał wszystko Stworzenie, rozszczepił i zaćmił światło nieśmiertelne ich ducha.

Brylantowe pierścienie eterycznej substancji, na której bytowały one niegdyś w zachwyceniu, stracił w przepaść, zamieniając ją na chaos bezkształtnej mgławicy i każąc im mocą wewnętrznego ognia trawiącej ich nieustannie tęsknoty budować z niej

kształt widzialny, materialne objawienie się ich woli, jednostkowej twórczości Ducha.

Szukając wcielenia — ubrania w kształt zbuntowanej niegdyś swej woli rozpięchły się błędne, od łona Bożej Mądrości odłączone twory, po Nieskończonych Przesztorzach, by mając przeźrocze etery, z wirów rozżarzonych wewnętrznym swym ogniem mgławic tworzyć kule wirujące — materialne pole działania, wznoszenia się, pokuty.

Ciemne jednak duchy, pożerane obudzoną w sobie pychą i szaleństwem odrębności, niezdolały już osiągnąć zerwanego promienia Łaski, którą Przebaczenie wysnuło ze siebie jak nić srebrzystą na pomoc skrusze i pokorze.

Straciwszy wszelką łączność ze Źródłem Wszechwiedzy — pograżyły się one w mroku i rozpaczy.

Stały się cieniem wszechrzeczy, błędzeniem i przeczeniem twórcami najniższych pierwiastków materji i wraz z nią utraciwszy tchnienie Bożego Ducha, dar nieśmiertelności, popadły pod prawo śmierci i zatracenia.

Widząc wysiłki ciemnych tych duchów i pragnąc ochronić od przytłoczenia ciężarem materji Boże iskiereki pokutujących braci, lecą jasne, wierne Bogu Anioły wśród Globów rozżarzonych, by łagodnym miłośnych skrzydeł swych powiewem chłodzić płonące ciemnym żarem światy i w rozszalałe wiry materji wplatać lotne, niebiańskie tchnienia.

I zawrzała Przestrzeń nieskończona wirem, walką i pracą. Z twórczych zmagani Ducha troistych pierwiastków powstają miljardy wirujących ognisk, które rozrywane walką opierających się żywiołów rozpadają się na drobne ułamki i znów łączą się w koła olbrzymie, które kręcąc się i wirując zakreślają srebrzyste elipsy w około macierzystego źródła twórczego ogniska.



I widzi Pan jak w wirach walki, w zapasach o przewagę swej nad materją potęgi ścierają się wątle Ducha płomyki, jak zstępują z gwiazdy na gwiazdę i na stygnące ich łona składają zadatek Bożej Myśli — ideę postępu, która zagarnia wszelki Ruch i Siłę w niezłomne i nieprzeblagane swe prawa.

Dotknięciem złotych skrzydeł anielskich budowniczych świat zakreślają się brzegi mórz i gór wierzchołki, w modlitewne rzeźbią się iglice, pozwalając upustom słodkich wód żłobić sobie u stóp swych granitowe łoża.

Widzi Pan, jak owe iskry w coraz to inne, doskonalsze formy stroją kształt swój objawiony, jak rzucają jedną zjawę po drugiej, bo żadna nie równa jest godowym szatom Ducha przedwiecznych jego na łonie Wszechmiłości bytowań.

Widzi Pan walkę, znój i zasługę, On Praźródło, Siła i Przyczyna i błogosławiąc przedwiecznej Idei Wiekuistej Twórczej Przemiany zawisnął nad Stworzenia swego Nieskończonością jak słońce jaśniejące nad wód otchłaniami.

Z błogosławięństwem tem spłynęły połoki światła niebiańskiego na mgliste kształtujących się Globów obszary. Postępowa praca doskonalenia form uwieczniona została tchnieniem Ducha, darząc utraconą przed wiekami Iskrą Nieśmiertelności odtracone niegdyś duchy zbuntowanych a żałujących Aniołów.

KSIĘGA II.

Wiedz mię o myśli! po Globu mojego stygnącej skorupie, po przez brzegi wód podzielonych.

Widzę, jak z pieśni pokrywających cienistych jarów wgłębienia podnosi się gąszcz bujniejący o zaraniu drugiego Bożego Dnia.

Widzę lasy szerokolistne paproci, które na wysychających mokradłach między skałami rozprzestrzeniają bezkwiętne swe wachlarze.

Cisza tu rozlega się nieprzenikniona, tylko czasem głuchy trzask wietrzejących skał, lub szelest toczących się głązów zakolysze rozstrzępione gałęzie.

Drży dusza moja w tajemnym niepokoju, który w żłobiącej dłoni czasu na tęskne zmienia się oczekiwanie...

A kiedy w ciszy uśpionych głązów z pierwszym wiatru powiewem spłynęła pierwsza modlitwa ocknionej przyrody, zatrzepotały się pletwy ryb złożących się w słońcu tęczowemi łuski i zasumiały po wyschłych mokradłach pełzające potwory — po suchych pasmach między lasem szurawu prostujące swe zwyrodniałe pletwy.

I wtenczas, gdy ponad głuchy szum i szelest wydobyła się z łona ptaka pierwsza pieśń odwiecznej tęsknoty i gdy zawtórzyl mu ryk pierwszego zwierzęcia wychodzącego na żer ze swej knieji, skupiła się cała przyroda w pracy wiekowej i nie spozczyła aż nie wyszedł z jej łona pierwszy płód, godny Boga — Człowiek...

I podniósł się Pan ziemi twarzą ku słońcu, spojrzal z wysokości wyprostowanych barków, na pełzające u stóp swoich twory, wyciągając ku nim królewską dłoń ujarzmiaciela.

O myśli!... Ty święciłaś wówczas pierwsze narodziny swoje — odbiłaś pierwszy raz obraz Boga w ludzkiej żrenicy, iskrą Ducha rozświecając kłębiące się męty instynktu.

Zamilknij myśli... nadchodzą chwile, gdzie służką stajesz się pokorną, gdzie po chlebnym deszczu na pustyni schylasz królewskie twe dłonie po manny świętej rozsypane drobiny,

które jak wijatyk na klęczkach przyjmując, w tęczę barw, jak w klejnoty ubierasz, by złożyć z nich dar tej ziemi.

Bo chociaż jesteś pierwszą danią Bożego Ducha, pierwszym chryzmem Bożej Miłości na ludzkim złożonym czole, sama duchem nie jesteś, lecz niedoskonałem jego narzędziem — więc zamilknij...



Nie wiem czy istnieliśmy i czym byliśmy w przedludzkiej epoce tej ziemi.

Byliśmy może dwoma równoległymi promieniami, które od jednej gwiazdy do drugiej odwieczna tęsknota posyła.

Może dwoma tonami w pieśni Wszechświata, które łączą się i uzupełniają w Sfer odwiecznej harmonji!

A może jednym z atomów rozprószonej w przestrzeń twórczej materji, z której powstają mgławice i światy, idee i duchy!

Nie wiem — to jedno wiem tylko, że z tobą ja byłam od pierwszej godziny świtania, jak dwie iskry, bliźniacze z jednego wytryskujące płomienia — jednością w dwoistości — jak jednością jest łono matki i płodu.

W przebuynym rozlewie Ducha, który jak potop słoneczny, rozplynał się po ziemi, zamilkło twórcze wrzenie przyrody — skończyła się walka o byt i o pierwszy kształt dla człowieka.

Zwierzęta spoczęły, w pracy przekształcającej, przystosowując się do stwardniałej ziemskiej skorupy, a ludzie chodzili w świetlanym rozlewie ducha jako Bogowie ku słońcu tylko podnosząc twarze.

Ziemia nie potrzebowała karmić swoich tworów, bo obfitość Bożej substancji spełniała to bez współdziałania członków, które tylko jako pamiątka pracy twórczej trwać miały przed Bożem obliczem.

I cała natura ukorzyła się przed tchnieniem Ducha z nas promieniującego i służyła nam na klęczkach jak niewolnik służy panu swemu — jak człowiek, korzy się przed Bogiem.

I nie było na tej ziemi ani głodu, ani pragnienia, ani żadnych chuci, bo nadmiar Ducha na nas przelany wzniosł nas wysoko ponad proch i glinę Stworzenia.

Czytając w otwartej przed nimi księdze odwiecznych Idej, ludzie poznawali plany Boże twórczości kształtów widzialnych dla duchów mających ukazać się na ziemi i pragnieniem swem i modlitwą wysnuwali je ze siebie.

Wtenczas Ty wytęskniłeś i wymodliłeś sobie kształt mój widzialny i na podobieństwo Idei tkwiącej w nieśmiertelnym zarodzie Ducha twego przywiodłeś mię przed Boże oblicze.

A piękne były ciała nasze i dusze nasze, które odbijały się w sobie, jak się jedna kropla w drugiej kropli odbija, jak się przegląda pierwszy uśmiech dzieciny w uśmiechu matki rozmilowanym.

I utonęły w sobie Duchy nasze i ukłękły przed sobą, uwielbiając w sobie Boga widzialnego, bo innego prócz siebie nie znały.

A że Duch mój później od twojego ubrał cielesne swe szaty i że męską twą wolą jako część ciebie samego kształty swe widzialne od Boga otrzymał, przeto przed tobą się ukorzył i panem cię swoim uznał po wszystkie wieki.

Brodziliśmy w światłości, bo prócz słońca, którego blask i ciepło ciała nasze żywiło, jasność światła Bożego z nas samych promieniowała i Idee tej ziemi przekazane jako słońca ogromne wschodziły, oświecając nam ku Bogu bliską i bezpieczną drogę.

I wróciła znów chwila Zjednoczenia, odnowienia harmonji — komunji przedwiekowej Stworzenia ze Stworzycielem.

Zdawało się, że przyroda — wypracowawszy w krwawym trudzie kwiat wiekowych swych zmagani — złożyła go jako okup przeblagalny u stóp Bożych i że obdarzony nieśmiertelnym pierwiastkiem Ducha twór ostatni stanie jako słup Przymierza — kolumna niebosiężna łącząca Ziemię z Niebem!

Księga III.

Mijały lata..., wieki..., wieków tysiące, niespostrzeżone jak mgnienie oka, bo czas — spełniwszy na tej ziemi posłannictwo swoje — utracił nad nią niszczącą swą władzę.

Postacie nasze jak tchnienia świetlane unosiły się nad tą ziemią, która cała rozkosznym, pełnym światła i woni była ogrodem.

Treścią naszego życia był Pokój i Szczęście, lecz w braku cienia, na którymby się odbił blask tego istnienia, nie rozumieliśmy dobrodziejstwa naszego bytu.

Gdy w modlitwie w górę wznosiliśmy nasze czoła — pokój niebiański owiewał nas i czynił nas podobnym aniołom.

Lecz gdy zwracaliśmy oblicza ku otchłaniom, szła ku nam stamtąd jakaś moc oszalamiająca, jakaś ciężkość ubezwładniała nasze członki, niepokój jakiś pierś poruszał, igrając myślą jak wiatr falą wezbraną.

W takich chwilach ja o pierś Twoją opierałem głowę i myśl rozigraną w kształty słowa wcielając, tysiącnie zadawałem Ci pytania.

— Czem jesteśmy my ludzie, jaki początek nasz i jaki cel nas czeka? Czy wieczność całą będziemy tu w tym ogrodzie, ku nieskończonności tam w górze, która zagadką nam jest nie-

odgadnioną, pełne pytań podnosić oczy? Czy danem nam będzie ogarnąć ją i zamknąć w sobie jak Bóg ogarnia i mieści w sobie całe Stworzenie?

Wtenczas Ty, podnosząc w górę czoło, na gwiazd promieniach zawieszałeś myśl swą zadumaną, starając się wzrokiem przebić zamknięte przed nami Niebiosy.

Odpowiedzi Twe z nielicznych składały się wyrazów, lecz najczęściej krystalizowały się w jedynej Prawdzie pokornej ludzkiej duszy.

— Nie wiem — na sprawach tych pieczęć tajemnicy Bożej spoczywa; chrońmy się, łamiąc ją, złamać w niej wolę Bożą, abyśmy gniewu Jego nie ściągnęli na siebie.

Rolą naszą tu nie badanie, lecz ufność i uwielbienie dla Tego, który Duchem nas swym ożywił, podnosząc nas ponad wszystko Stworzenie.

Na te słowa ja milkłam i patrząc w oblicze twego Ducha, jako kropla morzu Tamtemu podobne Obliczu, wielbiłam w Tobie Tego, którego nie danem jest ujrzeć żadnemu ludzkiemu oku.

Niepokój mój jednak nie ustawał i wtenczas, gdy Ty w Niebo wpatrzony na gór wierzchołkach — w nieskończonych trwałeś modlitwach, ja stawałam na urwiskach i w rozpadliny skał wzrok zapuszczając ciekawy, czytałam tajemne dzieje walk i przemian, jakie na tym Globie staczało Stworzenie.

O duszę moją odbijały się echa gromów i wrzeń podziemnych, w których wiły się i darły na strzępy stężale i uciszone łona granitów.

W przejściowe kształty potworów wpatrzona, przeżywałam straszną walkę i pracę twórczych wieków i nieukojoną ich twórczą tęsknotę.

W pulsach moich czułam wrzenie krwi podziemnej płonącej lawą wydobywającej się z łona ziemi.

Dziwiłam się wtenczas ciszy, jaką Miłość Boża położyła na kamiennem łonie tych głazów i łagodności dzikich zwierząt, które do stóp naszych jak dzieci się tuliły, lekkości i światłu naszych postaci, które nawet cienia rzucać nie były zdolne, tak przejrzyste były i światłością przepojone.

— Czem jesteś o ciemności, o walko, o wirze, o praco która na każdym miejscu tej ziemi zostawiła swoje ślady? — Czem jesteś o życie?... Czy snem tylko, w którym się nawet nic nie marzy?...

— Pragnieniem — odpowiedział mi głos jakiś z głębi skał, a może głos mojej własnej jaźni. I wtenczas ogień straszny rozpalił moją krew i ciało i przykuł je do tych śladów twórczej pracy, do wspomnień zmagającej się z sobą materji — do przeduchowego istnienia tej ziemi.

— Świadomości! — zawołałam w głębi rozszalałej mojej woli — niech ogarnę nią Ziemię i Niebo, Przeszłość i Nieskończoność, niech jako Bóg rozplynie się we Wszechistnieniu, lub jako zwierzę pograżę się w ciemni bezmyślenia!..

Odtąd opuszczałam często szalas bluszczowy i miękie szmaragdowego mchu postanie i w bór ciemny szłam, gdzie z zarosli i jarów głębokich tchnęło życie, woń żywiczna drzew — jodeł gorące oddechy — zapach ziemi..

Przylegałam twarzą — całym ciałem do łona tej Matki, której oddech we własnym słyszałam oddechu, spajałam się z Nią w jednym dźwięku, w jednym nienazwanym pragnieniu..

I wychodziły ku mnie z ciemnych gąszczów, z głębokich rozpadlin, dziwne jakieś postacie, jak błędne ognie z mgieł i oparów tej ziemi zrodzone, kształty jakieś bezcielesne, napół ludzkie, napół zwierzęce.

Otoczały mię wieńcem białych cieni, pieśń jakąś zawodząc cichą, w pieśń ich wsłuchując się jednak ciekawie.

— Nie bój się nas — mówiły — nie odpędzaj, nie odpychaj! — Czy nie pomniesz, jak zwarci świetlanym pierścieniem opasywaliśmy w zgodnej harmonii tron Stworzyciela. Jak potem za oderwanie od Niego myśli i oblicza strącił nas Gniew Jego w bezdenną przepaść?..

Wy, których małoduszna trwoga ukorzyła przed Gniewu tego potęgą, rozpoczęliście na globach pokutniczą pielgrzymkę, my jednak jako twórcy materji, globów tych jesteśmy Stworzycielami, bo ciemność pierwiej niż światło tu rządziła.

Prapoczątkiem była ona, jak głównia ciemna, z której ognień wytryska. A ognia tego sprawcą jest wewnętrzny żar pragnień naszych, zemsty i nienawiści naszej — i ten to żądzą nigdy nie gasnącą nieustannie sam w sobie pożerany, stopiwszy i pochłonąwszy atomy lotnych pierwiastków, dał początek widzialnym kształtom materji.

A więc ciało twoje choć świetlne i przejrzyste z ognia tej ziemi powstało i do niego należy. Źle czynisz więc, że się mu opierasz, bo w żądzy płonącej ciała twego cel twego istnienia — w niej tajemnica kryje się życia, w niej światło i poznanie Prawdy, przed wami zakrytej. Bo nie na wierzchołkach ona w mistycznych zachwytach lecz tu, w głębi prażycia, w łonie natury..

Myśli te splecione w rytmiczne, śpiewne dźwięki, będące treścią mglistych tych postaci, wsiąkały w jaźń moją i razem z gorącym tchnieniem nocy buntem jakimś bluźnierczym rozpały krew moją i ciało.

Ten bunt wnosila pragnieniem rozszalała dusza moja na wierzchołki wzniosłych szybowañ twojej myśli, siejąc w nią żar i płomienie.

Głucha już byłam na głos protestu, nie rozumiałam słów które brałeś w siebie z ciszy modlitwy na górskich szczytach; zrozumiały był mi głos tej Ziemi, który w upalnych nocach mego Ducha szeptał mi dawne swoje dzieje.

Widziałam tylko rozszczepienie woli i twórczość w materji. Wzrok mój niegdyś jasny i daleki, sięgający w głąb i wyżej, aż do podniebnych Sfer Bożych tajemnic, począł się mglić i spostrzegać rzeczy bliskie jedynie, to co tylko ręką dotknąć można, co dotąd zdawało mi się mętne i niezrozumiałe.

Uszy moje, które dotąd tonęły w wszechharmonji Sfer, w dźwiękach hymnów anielskich, zaczęły powoli głuchnąć na owe tony i słyszeć tylko pieśni ziemi, głosy przyrody, i z nich płynące pokusy, które jak piosenki swawolne i wesołe pieściły zmysły i oszalały słabnącego Ducha.

Wkrótce za moją namową i Ty się w nie wsłuchiwać porządasz i wtenczas ciała nasze zaczęły tracić blask i lotność swoją, członki jak ołów poczęły ciężać ku Ziemi i cień zrazu bladej, potem coraz ciemniejszy stawał przy naszych postaciach. Białe, przejrzyste światło, jakim promieniały nasze dusze, rozszczepiło się w tęczę kolorów coraz mętniejszych, aż wreszcie zupełnie blasku pozbawione od Ziemi tej wzięły ciemną i brudną jej barwę.

W miarę zanikania w nas świadomości Ducha, miłość nasza wzajemna skrzydła swe traciła niebiańskie. Nie mogliśmy wielbić w sobie światła Bożego, bo z każdym dniem traciliśmy jeden z jego promieni.

Z ciemnych źródeł praognia, ze soków Ziemi, z żądz i instynktów przedduchowej twórczości stworzyliśmy miłość inną, już nie do ulatującego z nas Bożego tchnienia, lecz do coraz bardziej ziemskich pierwiastków naszych przykutą i już nie miłość i pragnienie wyzwolenia braci oczekujących zjawy swej w przestrzeniach, lecz instynkt i żądza rozkoszy zmysłów nowe kształty stwarzały dla Duchów.

Wówczas znów nad tą Ziemią zawrzała burza Bożego Gniewu, który za powtórne oderwanie Ducha od górnych swych przeznaczeń wygnał ród nasz niewdzięczny za wrota rajy.

Światło niebiańskie, zatłone rozlewem Ducha Bożego, zgasało przewalone ciężarem rozbujającej materji i skryło się w głębiny duszy jako mały płomyczek.

Gniew Boży strącił nas na dno życia materialnego, w głąb najgrubszej materji, która przywalając w nas, jak kamień grobowy wszelką świadomość i wspomnienia Ducha, odgrodziła nieprzebitym murem tłącą w nas nieśmiertelną Iskrę od źródła Bożej Wszechwiedzy.

„W pocie czoła pracować będziecie i w ciężkim znoju uprawiać nieużyta bryłę ziemi, która ciernie i osty rodzić wam będzie! W krwawym trudzie i w wysiłkach nad miarę rozżarzać będziecie w sobie zgaszone światło Ducha, ku któremu w trawiącej tęsknocie rwać się będziecie, kłębiąc się i wijąc w ciemności kamiennego grobu materji” mówił Gniew Boży!

I wyznaczył Pan drogę naszą, po której na coraz bardziej materialnych globach staczać się będziemy w coraz to gęściejszą mgłę mętów i niewiedzy, z której oczyszczać i podnosić się musimy w walce i trudzie wiekowym, poprzez błędzenia i zbrodnie, poprzez cierpienia i mękę, przez szeregi narodzin i zgonów.

I staliśmy nieszczęśni wygnańcy za wrotami raj, obejmując rozpaczem spojrzeniem nieskończoność ciemnego drogi naszej pierścienia i niebotyczne złomy materji, którą płomień powoli rozpalającej się w nas samowiedzy stopić ma na ognistą rzekę Wszecmiłości.

A że Ty aktem niebiańskiej twej miłości w kształty ubrałaś mego Ducha, a ja ulegając podszeptom niskich sił tej Ziemi miłość tę świętą na chuć zmieniłam zwierzęcą, przeto rozdzielił nas Gniew Boży na długie wieki ziemskich wędrówek i kazał nam tęsknić ku sobie nieukojonem tęsknieniem i szukać się wzajemnie bezskutecznie.

Bo złączyć wolno nam się dopiero wtedy, gdy w chwalebne, świetlane ciała przyodziani utracone światło Bożego Ducha uwielbić w sobie będziemy godni!

A że Duch mój przez twą wolę w kształt powołany, i pierwiastki mego ciała z twe o ciała wzięły początek, przeto jeden i ten sam jest dusz naszych dzień i jedna godzina i tylko razem wolno nam w słoneczne wstąpić kręgi.

O ziemi! Po wąskiej orbicie wytyczonej ci przez Boga koleji potoczyłaś się cicho, posłuszna jak dziecko ojca rozkazowi.

W ciemnym korycie zwierzęcego istnienia zamknęłaś Boskość twą na długie wieki, przywalając ją gliną ziemi, z którą się w grzechu pierwotnym zrównałaś.

Jasność twa, która cię w czasie rajskich bytowań słońcem czyniła dla sąsiednich planet, zgasła do małej iskiereki, zostawiając jej słaby zaledwie promyczek gwiazdki na Bożym horyzoncie.

Bo słońca promieniejących z ciebie idej z chwilą grzechu skupiły się i zmały jak owoc maleje, i skupia się w nasieniu, by dopiero razem z Ducha jasnością rosnać i potęgować się, ze zwierzęcych odczuć przez ludzkie uczucia, aż jako słońca Bożych cnót znów potokami światła Ziemię tę zaleją.

Księga IV.

Czy pamiętasz jak ciężkim brzemieniem materji przywalona Iskra Boża, jak błędny ogień na bagnisku wątlm błyskała światełkiem i gasła za powiewem przeciwnych duchowi prądów?...

Jak się myśl zmagala z przemocą instynktu i wyzwalała omdlewała w gorączce pragnień i tęsknoty!

Czy pamiętasz jak po okresie zwierzęcych chuci i zwierzęcych zbrodni, który porwał nas w swe wiry i na długie wieki rozłączył nasze Duchy, spotkaliśmy się znowu na ziemi?..

Byłeś ówczas pożerany ową tęsknotą, która jak żądza dzika nieświadoma siebie, na czele hord gnała cię przez stepy i bory.

Wtargnąłeś raz do cichej osady, gdzie w gaju lud zgromadzony przy dziwnych zastale obrzędach i bez oporu tłum rozmodlony jako niewolników swych pogałeś wraz z trzodą.

Czy pamiętasz ową niewiastę siwą, do której ze czią zbliżał się lud pojmany o leki ją prosząc i czary, jak cichemi nocami wychodziła na rozbłękitnione księżycem polany i tam oczy wzniosłszy ku górze dziwne jakieś wymawiała słowa?

Wróciłeś dnia jednego ranny, krwią zbryzgany i rzuciwszy brzemie łupu ceną zbrodni i krwi własnej zdobyte, jak dąb ścięty powaliłeś się na ziemię.

Wtenczas branka twoja zbierała zioła i utarłszy je między kamieniami na rany twoje kładła, odwar z nich kojący warzyła, pojąc nim twe łaknące wargi.

A gdy dzikie twe oczy pod kojącem dotknięciem jej rąk łagodnieć i łzami szklieć się poczynaly, mówiła ci rzeczy dziwne; o dobrych i złych siłach przyrody, o cieniach zmarłych, które ona widzi i z nimi rozmawia w długich czuwaniach miesięcznych nocy.

O wielkiej przepotężnej Istocie, którą świat ten cały jak jabłko w dłoni swojej trzyma, rządząc na nim żywymi, których śmiercią nagradza, lub karze i umarłymi, których życiem z możliwością pokuty za grzechy obdarza.

Gdy to mówiła, oczy jej w jeden punkt wpatrzone mgłą zachodziły, członki sztywniały, a na blade jej czoło spadała luna jakaś fosforyzująca w ciemnościach jak blask mdlejącej gwiazdy o zaraniu...

Czy pamiętasz, jak wsłuchując się w te opowieści, dusza twoja miękła i łagodniała, a żar tęsknoty twej innym już zaczynał płonąć ogniem?

Wtenczas towarzysze twoi, widząc bezczynność twą i zamyslenie czarom obcej niewiasty przypisywali tą dziwną twą przemianę i zabić ją chcieli.

Wówczas się horda twoja podzieliła na dwa obozy — jasnych i ciemnych, w miarę jasności Ducha w zapasach żywotów zdobytej.

Mimo obrony wydarły ci ciemne zastępy sędziwą brankę twoją, by wraz z towarzyszami twymi śmiercią ją okrutną pokarać.

Ty ocalałeś... w puszcze się schroniłeś bezludną, czarne twe kędziory zbieleły, siwa broda spływała ci do pasa.

Mięsa nie tykając, tylko korzonkami żywiąc się po drogach, przechodziłeś przez wioski i ludzkie siedziby i na kamieniach siadając przydrożnych pouczałeś nieświadome, pocieszałeś cierpiące i skrzywdzone.

Powtarzając zasłyszane od zmarłej branki twej zaklęcia przywoływałeś niemi jasne i niewidzialne grzesznym oczom postaci i za ich poradą leczyłeś chorych, prorokowałeś rzeczy przyszłe i nieznanne i jasnością rozświetlonego promienia Bożego porażałeś ciemne, wrogie Duchowi potęgi, kając się przytem w nieustannej srogiej pokucie za grzechy i zbrodnie swoich i moich żywotów!

Księga V.

Czy pamiętasz owe łąny rozległe, złotem płynącym zbóż dojrzałych zalane, a w nich maki czerwone jak krasne usta dziewczyny i cienie odwiecznej dąbrowy, gdzie świętych gotyn niegasnące płonęły ogniska?

Czy słyszałeś nad lipami pszczoł dzwonienie i kukulki głos, jak zegar z wieży bijący?

Czy znasz ową woń żywiczną sosen i pokosów upajające oddechy — zapach Ziemi tej bujnością nieprzebranej, co z roli w krew się ludzką sączy, ducha karmi i na blaski słoneczne otwiera?...

I białe ściany chat i białe płótnianki i jasne uśmiechy i szczerze spojrzenia, jaśnienie duszy słodkiej, ustępliwej, rozpalającej się za lada iskrą ku świętym Prawdom, ku nadziemskim celom człowieka.

Czy pamiętasz jak wichrem prądów nadziemnych gnane zawisły dusze nasze jak para zbłąkanych motyli, a Ziemia ta kształty im widzialne utkała w bujności soków swych, z uśmiechów swego słońca, z dum księżycowych nad cichymi płynącymi chatami?...

Tu się na białej, załartej Duchów naszych księdze zapiswały nowe głoski, w blaski strojących się Idee, siejąc w nie swe kielki, które tożsamość jaźni w każdym wyodrębniają żywocie.

Stawaliśmy się podobni Ziemi, która nas rodziła, wsiąkając w siebie barwy jej i cienie, hasła jej odwieczne w tajemnym zarodzie Ducha piastowane, głoskami woli Bożej na dnie jego wirytc.

I nasze Duchy wraz z Ziemi tej bujnością i siłą, ze szczęściem i rozlewnością jej życia brały na swe skrzydła ciężar i powagę odwiecznych na niej spoczywających powołań, których znamię coraz silniejszym piętnem żłobiło się w każdym żywocie.



Czy pamiętasz, gdy horda dzika, straszna, jak złych duchów ciemne zastępy spadła na bujne kwitnące dziedziny, na ciche sioła, na czarne, zadumą spowite leśne uroczyska?...

I krzyk się wydarł z tysiąca piersi na widok zdeptanych pól, spalonych wiosek, pomordowanych, lub w łykach w niewolę pognanych mężów, niewiast i dzieci.

Pomnę — jak się tworzyły szyki bojowe, jak ciężkie zbroje przywdziewali ojcowie, męże i syny nasze, w obronie ziemi swej przez wroga niszczonej potęgą i męstwem ramion swych i życia swego bezcenną ofiarą jak wałem nieprzybitym pogańską odpierając nawałę.

Poszli z białego dworca trzej młodziankowie, za którymi połały się łzy matki wdowy strugą niewypłakaną i nie ujrzały ich więcej chruściane płoty, ni modrzewiowe ściany rodzicielskiej zagrody.

A wojna wrzała i coraz nowsi rycerze zaciągali się do tworzących się hufców palonej i niszczonej krainie swej z pomocą.

I popłynęły łzy matki niewypłakane na czarne kędziory ostatniego syna, jak jasne perły spadające prośbą o zmiłowanie nad sieroctwem jej samotnej starości.

Ostatni był on i najstarszy, jak ojciec w rządzie i w radzie, młodej niewieście niedawno poślubiony.

Pokazywała mu matka płaczące w kolebce niemowlę i pochyloną nad niem jasną głowę niewiasty i dobytek bez gospodarza na stracenie skazany i swoją bolesną twarz bruzdami łez zoraną.

— Rozkaz to Boży — odrzekł — jak padnę, to pełnięc powinność swoją, jak woła Jego, to wrócę, niech serce twe matko nie szemrze przeciw Bożym wyrokom. —

Porwała się matka i jak słup bolu stanęła, nie rozumiejąc tej mowy syna, niepewna gdzie Prawda, czy w jego surowej rycerskiej cnocie, czy w jej sercu boleścią przebitem...

Płachtą się wdowią okryła i do starego boru pognęła

Tam osiedlił się był przed latami pustelnik sędziwy. Niedługo, gdy jeszcze znamię krzyża świętego nie osiągnęło tych borów głębokich, sprawował on starych bogów tajemne obrzędy.

Posiadał moc zaklinania burz gradowych i zażegnania zarazy, ludzkie boleści i choroby odejmował kładzeniem rąk i wymawianiem magicznych wyrazów, lecz mimo wielkiej swej mocy i władzy żył w ubóstwie nie przyjmując nic za leki, prócz odrobiny strawy, którą dzielił się z uboższymi od siebie.

Później, choć razem ze swą wioską przed Krzyżem Chrystusowym ukorzył się władzą, wizerunków bożków swych nie chciał wydać na zniewagę i dlatego czarownikiem niewiernym go ogłoszono, mówiąc, że nieczystym służy on mocom.

Mówiono, że choć na dachu gontyny krzyż zatknął Chrystusowy i w gaju Żywi Matki Najświętszej posązek postawił, posągi dawnych bogów uniósł gdzieś w niedostępne leśne uroczyska, gdzie nocami dawne swe sprawuje obrzędy.

Lecz mimo to w wielkiej ciele lub ducha niedoli, szli do niego ludzie po radę lub leki i nikt nie wrócił bez pomocy, czy pociechy.



Już gwiazdy blednąc poczęły, gdy na progu pustelniczej chaty stanęła niewiasta.

Spojrzała w głąb izby — starzec nie spał. Pod ścianą na kamiennym ołtarzu płonęło ognisko, którego krwawe blaski oświetlały jego rysy jak posąg nieruchome.

Dorzuczał w płomień wiązki ziół, których wonny dym upajającym aromatem rozchodził się po izbie.

Stał w ogień zapatrony, głuchy i nieczuły na wszystko co się koło niego działo, a pod wiszącym u stropu krzyżem Chrystusowym białeły również sztywne i nieruchome bóstw pogańskich posągi.

Starzec nie widział i nie słyszał wejścia niewiasty, która zatrzymała się na progu, czekając końca obrzędów, aż nagle z pośród obłoków wonnego dymu, rozległ się jego głos:

„Oto ofiara wonna idzie ku górze“ Ofiara święta to pokarm Bogów“.

„A Bóg najwyższy przyjął ofiarę syna swojego, by strumień jego krwi płynącej z krzyża spłynął na nas płonąca strugą i świat cały żądzą ofiary zapalił“.

„Bo ofiara to pokarm Bogów“.

„Oto pali się płód ofiarny ziemi tej, a dym jej idzie ku górze“.

„Dymi się krew synów naszych, a Pan przyjmuje ofiarę świętą ziemi tej, którą ołtarzem swoim uczynił“.

„A różne są ludzkie ofiary: z modłów i płodów ziemi ze krwi ciała i ze krwi ducha“.

„Najpiękniejsze jagnię składał lud dawniej na stosie z miłością i trudem wychowane... Dziś nadszedł czas ofiar większych — kosztowniejszych danin“.

Ogień ofiarny pochłonie wszystko: i bicz koral i kosztowne zausznice i rzeźbioną lirę, której dźwięki samotne twe rozweselają godziny i ostatni uśmiech ust twoich i ostatni blask ukochanych oczu i ostatni jęk konającej piersi ostatniego syna twojego“.

„Bo ofiara jest pokarmem Bogów“.

„A ziemia ta ołtarzem Bogów jest na ofiarę Ducha przeznaczona i biada jej, gdy ustaną stosów jej dymy płonąć ku górze“.

Wymawiając te słowa, rzucił znowu pęk suchych ziół na dogasające ognisko i po chwili, zupełnie już ku niewieście zwrócony, lecz oczami gdzieś w Przestrzeni błędzący, powtórzył: „Nie gaście stosów ofiarnych, niech płoną..., niech płoną“!...

Jęk bólu i trwogi szalonej wyrwał się z piersi niewiasty!... Słowa starca uderzały zbolełe matczyne jej serce jak miecze, a cud przeniknięcia najgłębszej tajni jej cierpienia nadał im moc jakąś tajemną, a nieodwołalną..

Zawisła nad nią niewidzialna, a niepokonana potęga wyższego rozkazu, przed którego spełnieniem nie uchroni jej żadna ludzka siła.

W słowach tych, jak w gromie brzmiał Głos Boży...

Ugięto ją ku ziemi brzemień tego rozkazu, na klęczkach przyczołgała się do stóp starca.

— On ostatni, jedyny został mi na świecie... ojciec i opiekun! — broniła się z rozpaczą.

Starzec drgnął na dźwięk tego głosu i jakby ze snu zbudzony, ze zdziwieniem spozrywał na płaczącą kobietę, jakby dopiero teraz spostrzegł jej obecność.

Nie pytał jednak po co przyszła — boleść od niej bijąca wszystko mu jasnym uczyniła..

Objął ją tylko wzrokiem łagodnym i pełnym litości, a ona chłonąc w siebie kojące promienie spojrzeń tych widziała w nich odbite wizje odległe białych miraży — słyszała jakby ciche akordy pieśni odległych wieków dawno przebrzmiałych i uczyła nienazwaną — żadnym słowem ludzkim niewypowiedzianą Jednię najgłębszych, a ukrytych drgnięć Ducha swego z ową falą myśli i wiedzy jego po promieniach spojrzeń tych sączących się w głąb jej serca.

Nie rozumiała słów jego, bo w prostej jej duszy nie było strun dość subtelnych do wyrażenia tej misternej gry uczuć tajemnych wiekową niepamięcią przytłoczonych, lecz czuła zniewalającą moc Prawdy Wiekuistej jak korona mistycznego kwiatu roztaczającej czarowne, niebiańskie swe wonie.

Upadła więc na twarz złamana bólem, a natchniona zarazem żądzą spełnienia Woli Bożej u stóp kamiennego ołtarza, powtarzając za starcem słowa ofiarnej modlitwy.

„Niech idzie dym matczynej Ofiary pod stopy Twoje o Chryste, niech rośnie Ziemia ta świętością składanych ofiar aż od stopni Twego tronu“. — W słowach tych rytuałem magicznym ofiarując na stos śmierci młodzieńcze ciało ostatniego swego syna.



Tęsknota.

Chociażbyś miała wszystkie dobra stworzone, jeszcze szczęśliwą i zadowoloną nie będziesz, — ale na Bogu, Stwórcy wszystkiego całe szczęście i błogosławieństwo zawisło.

Dlatego nie znajdziesz duszo moja. zupełnej i doskonałej ochłody, jeno w Bogu twoim.

*Naśl. Chr. Tom. a Kempis.
Rozdz. XVI.*

Urodziły cię mgły szare i smutek jesiennego wieczora, wykołysały wichry co z cichym jękiem pochylają nadbrzeżne sitowie.

Dwie najsmutniejsze gwiazdy firmamentu to oczy twoje, włosy twe to jedwabna przędza babiego lata, a lice to twarz anioła, który płacze złamanych skrzydeł swoich.

*

Stało się to jeszcze przed wiekami.

W owej chwili, gdy w piersiach ludzkich zapalił Bóg po raz pierwszy świadomości pochodnię.

Wtenczas człowiek ów, zaledwie obudzone, a już stygmatem wielkich powołań swych, namaszczone czoło wzniosł w górę i w niebiosach — przeznaczeń swych ojczyźnie utkwivszy oczy pytań i niepokoju pełne — wyszeptał:

— Pragnę!...

I odtąd tyś zawładnęła tym globem — i rozpostarłszy nad niem mglisty swój welon, rozpoczęłaś twą cichą, niestrudzoną pielgrzymkę...

I zjawiasz się na progu mieszkań ludzkich, nie wolana, nie oczekiwana i otulając w fałdy twej szaty przeźroczej, garniesz do chłodnego twego łona; miękkie choć silne twe dłonie, arfę dusz ludzkich ujmują, na jej strunach przedziwne wygrywając piosenki.

Stosownie do pory roku, dnia i chwili, przeróżne na niej grasz arye i w przeróżne stroisz się szaty.

Czasem okrywa cię przędza cieńka, bezbarwna, która spływając przez powiewną twą postać, jak welon oblubienicy zakrywa twe blade rysy.

Wtenczas piosenka twoja cicha jest i łzawa jak jęk wiatru, jak furjarka pastuszka sieroty.

Czasem stroisz się barwami jutrzeńki, różowo i srebrzyście, wtenczas usta twe słodko się uśmiechają, a piosenka twa brzmi łagodnie i uroczo jak strumyka szmer, lub skrzypiec rozkochane tony.

Czasem zjawiasz się jak uragan, lub pożar, w złoto i purpurę strojna, wtenczas ręce twe siłę mają niezmierną, a palce, jak płomyki po strunach duszy przelatując, grają jakiś hymn potężny, w którym slychać śpiew słowika i bicie górskiej kaskady i całego wszechświata westchnień, marzeń i pragnień symfonią wspaniałą.

Czasem wsuwasz się do komnaty cicha i żalosna, jak płaczki pogrzebowe, lice czarnym welonem okrywasz i grasz tak smutnie i rzewnie, że struny dusz tych kurczą się z bólu pod dotknięciem twoich palców i rwą się nieraz przy silnym akordzie.

*

Może pieśń twoja to echo harmonji sfer, może zbląkane tony muzyki błogosławionych światów.

A może pierwsza nuta nieskończonej pieśni wieków, której ostatni akord milknie u tronu Boga.

*

Bardzo młodziutką jeszcze byłam, gdyś po raz pierwszy zapukała do duszy mej podwoi.

Był wieczór letni, od księżycy błękitny, od gwiazd migocący.

Siedziałem w jednej z baszt starożytnego zamku moich rodziców, w dziewiczej mej komnacie i przez małe w ołów poprawne okienko patrzyłam na skrawek widnego przez nie nieba.

Czułam dnia tego niezwykle ognie w skroniach. a w duszy niepokój i gdy noc mię ogarnęła, otworzyłam okno i wtenczas po gwiazd promieniach spłynęła ku mnie czarowna jakaś melodia.

Z nią razem ty weszłaś do komaty, jedwabną przędzą swoich szat owinęłaś płonąca mą głowę, a duszę ujawszy w swe dłonie grałaś na jej strunach nieznaną mi dotąd piosenkę.

Jedzie rycerz w srebrnej zbroi
 W której słońca skry migocą.
 Jedzie święte staczać boje.
 We krwi wrogów jedzie brodzić,
 Karać winnych, mścić sierocą
 Krzywdę. Jedzie pełen męztwa,
 Żądy, sławy i zwycięstwa
 Kraj ojczysty oswobodzić.

Jedzie rycerz w srebrnej zbroi
 Świeci zdała jako słońce.
 Lśniący hełm zdjął z głowy swojej
 Do okienka twego wznosi
 Rozkochane, błagające,
 Szafirowe piękne oczy.
 O błękitną twych warkoczy
 Wstęęę nieśmiało cię prosi.

Jedzie rycerz w srebrnej zbroi
 Z ręki twojej bierze wstęęę,
 W którą męzną pierś swą stroi,
 Potem rzecze — Jadąc w boje —
 U twych stóp składam przysięęę:
 Gdy zwyciężę tu przybędę
 O rękę i serce twoje
 Piękne dziewczę prosić będę.

Upojona, zasluchana w czarowne tony twojej pieśni, leżałam jak martwa, a dusza moja opuściwszy mię, stanęła trwożnie między mną a tobą.

— Kim jesteś? — spytała.

— Jam jest marzenie młodości twojej i młodości świata.

— Jam jest wiosna ludów i ludzi — odrzekłaś... i zniknęłaś.

Podniosłam się, zamknęłam okno i uklęknęłam do wieczornego pacierza, ale echo słów melodji twej zostało i grało, grało przegłuszając słowa modlitwy. Nawet gdy sen skleił zmęczone me powieki. słyszałam ciągle nutę twojej balady.

*

A proroczą była twa piosenka, o wieszczko mgieł wieczornych.

Nazajutrz przejeżdżał przez naszą okolicę hufiec zbrojnych rycerzy, śpieszących na wojenną wyprawę.

Piękni byli oni, błyszczący męstwem promieniejący.

Trzech najpiękniejszych stanęło przedemną o wstęęęę prosząc.

Jeden złotowłosy, o szlachetnym i poważnym szafirowych oczu wyrazie, drugi kruczowłosy, czarnooki, o płonących ustach i ognistym spojrzeniu, trzeci miał włosy płowe, oczy koloru nieba, które jakieś nadziemskie odbijały blaski.

Wybrałem pierwszego, bo mi najbardziej w głąb serca sięgnął mężny i poważny oczu jego wyraz, oddałam wstęęęę,

a on na piersi ją przypiąwszy u stóp moich złożył przysięgę,
że wróciwszy pojmie mię za żonę.

★

Pojechał.

Od onej chwili tyś rozwinięła nad mą głowę, mglistą szat
twoich koronkę i zaczęły się najpiękniejsze dni mego życia —
dnie snów czarownych i świetlanych nadziei.

Tyś mi śpiewała przepowiednie szczęścia u boku mego
złotowłosego rycerza.

Tyś przed oczami moimi rozsuwała tysiące czarodziej-
skich przyszłości mojej obrazów.

Tyś mię nauczyła kochać go całą siłą młodej rozmarzonej
wyobraźni i oczekiwać jego powrotu w gorączce pragnień i ro-
jeń o szczęściu nigdy nie spełnionem na ziemi.

★

Wrócił.

Ze starego, ponurego zamku moich rodziców wprowadził
mię do jeszcze starszego i bardziej ponurego swojego domu.

Okolice była górzysta, skalista i dzika, przystęp do zamku
wzniesionego na stromej górze trudny i daleki, to też pędzi-
liśmy żywot jednostajny i cichy, bez rozywek i wrażeń.

Mijały miesiące całe, gdzie żaden gość nie zakolatał do
bramy zamku.

Z początku, pomna cnót mych prababek pobożnej tra-
dycji, spełniałam cicho obowiązki moje i rozkazy mego męża-
pana.

Niedługo jednak zaczęła mi ciążyć ta samotność, — coraz
częściej czułam przy sobie obecność twoją, która jako nieporu-
szony a natrętny gość wciskać się zaczęłaś do mojej mrocznej
komnaty.

I znowu czułam jak powoli ogarnia mnie twoja moc... jak
twe ciche szepty zapalają w mej duszy ogniska coraz gorętszych
pragnień, coraz namiętniejszych tęsknot.

Zwracałam wówczas niespokojne pytające spojrzenia ku
obliczu męża mego — lecz w niem malował się zawsze jednako
chłodny spokój i szlachetna powaga.

Nigdy radosnego na mój widok uśmiechu, nigdy miłosnego
uniesienia, ni wybuchu namiętności.

Wtenczas zamknęła się w żalu dusza moja, stłumiła ogień,
wstrzymała tamą woli wezbrane fale pragnień.

★

Był maj.

W dalekich mych przechadzkach po zieleniejących trawni-
kach łąk i sadów i wiosennego gwaru pełnych wzgórzach, to-
warzyszylaś mi zawsze o wiosny posłanko.

Ujęłaś znów arfę mej duszy w miękkie swe dłonie i znów na jej strunach pieśni swe wygrywać zaczęłaś.

Było to podczas mej dalekiej samotnej przechadzki, gdy słońce do snu się układając z za brzegu kryjącego je globu, ostatnie na tę część ziemi rzucało spojrzenie.

Na łąkach zbóż i skał szarych głazach kładły się różowo złociste blaski, ustał wszelki wiatru powiew, jakby jakimś rozkazem wstrzymany, a nad lasami, polami, łąkami i moją głową rozpostarła się wielka, błogostawiająca ręka ciszy.

Usiadłam na murawie u brzegu lasu i poddając się wraz z całą przyrodą czarowi tej promiennej przeczuciami szczęścia chwili, wsłuchałam się mimowoli w tony twojej piosenki.

W oknie stała
Róża biała
Której cudny kwiat,
Po za kratą
Zima, lato
Smutnie patrzył w świat.

Niedojrzane
Niezerwane
Jak smutny kwiat ten,
Dnie twe płyną,
W nurtach giną
Czasu, jako sen.

Po nad kraty,
Białe kwiaty
Ku słońcu się pną.
Bo w więzieniu
W chłodzie, w cieniu
Z tęsknoty tu mra.

Świata czarów
Blasków, żarów
Brylantowa toń
Niedaleka
Na cię czeka
Tylko schylić w dłoń.

Gdzie w głębinie
Losu płynie
Szczęścią strumień twój
Idź z ukrycia
Snu, do życia
Jasny zbudzić zdrój.

Upadłam na murawę i zanurzywszy się w powodzi bujnych traw, pragnęłam ukryć się przed tobą, przed twą pieśnią czarną i kuszącą...

I dusza moja strwożona i drżąca stanąwszy między mną a tobą spytała:

— Kto jesteś, która przychodzisz ziarna zatrute pragnień siać w serce niewinne, pokoju spragnione?!...

— Jam jest wola twojej młodości, motor ruchu i przeobrażenia, wróg twój i dobroczyńca, jam jest wola życia...

Zerwałam się by uciec przed tobą, lecz napróżno, słowa twojej pieśni rzuciły w moją duszę zarzewie pragnień i tęczą równobarwną marzeń otoczyły moją głowę.

Powróciłam do domu smutna, z sercem ściśnionem, pełnem żalu i niezadowolenia.

Piękną jestem i młodą, a skazano mię na żywot cichy i samotny w ponurych starego zamku murach, gdzie niczyje oko nie dojrzy i nie ucieszy się moją krasą!...

★

Po wieczerzy, znalazłszy się sama w mej sypialnej komnacie, stanęłam przed zwierciadłem i poraz pierwszy zaczęłam się uważniej przeglądać memu w niem odbiciu.

Widziałam twarz młocnie białą, rumianą, drobną, świeżą jak u dziecka. Otaczały ją pukle jasnozłocistych włosów, których warkocze błyszczącą koronę tworzyły nad niskim czołem zakończonem czarnemi łukami brwi. Oczy ciemne, kibić drobna, wiotka, a odkryta szyja odcina się białością alabastru od ciemnego stanika.

Jakbym też wyglądała w jasnej, strojonej szacie?... pomyślałam.

Czy przy brylantach dyademu świeciłyby silniej ciemne me oczy?...

Ulegając tej zachciance, przewidziałam najpiękniejszą z moich sukien, a na szyi zapięłam brylantowy naszyjnik, — stary klejnot rodzinny.

Takież sam dyadem wpięłam we włosy i chodziłam tak wzdłuż pokoju, ciesząc się szelestem jedwabiu i zatrzymując co chwila przed zwierciadłem, aby podziwiać odbite w niem zjawisko.

Tak stojąc zapatrzona, nie słyszałam jak się otwierają drzwi mojej komnaty — i nagle obok siebie ujrzałam męża mego, który surowem spojrzeniem mierzył mą strojną postać.

Odskokczyłam przerażona i drżąc z przestachu, zaczęłam zrywać ze siebie suknię i klejnoty.

On powstrzymał mię łagodnie i zaczął mówić swym poważnym, surowym głosem:

— Nie lękaj się Blanko, nie uczyniłaś nic złego, obudziło się w twej duszy samopoznanie — widzisz, żeś młoda i piękna, a to są przymioty, które zwyczajnie bogatych, złoconych ram są żądne.

— Niestety, nie taką cię mieć pragnąłem!...

— Wiedziałem o tem, że próżność i zalotność na dnie każdej niewieściej duszy spoczywa, lecz ciebie miałem za wyjątek, za lilię, których śnieżnych szat żadna pozioma myśl zbrudzić nie zdolna.

— Odkrycie to nie gniewa mnie, lecz poważną, głęboką troską napęłnia mą duszę!.

Bezwzględny i zimny ton jego mowy zmroził mi krew w żyłach, — ku wyniosłej, rycerskiej męża mego postaci podniosłam zalęknione źrenice, nie śmiejąc przemówić.

A byłabym wówczas chciała przytulić się do jego dzielnej, szlachetnej piersi, — palając me skronie oprzeć na jego ramieniu i na ciebie o czarowna kusicielko, skargę zanosząc, o pomoc go prosić i opiekę.

I zapragnęłam by się uśmiechały do mnie te usta surowe i by na moich ustach spoczęły... By otoczyło mię jego silne męskie ramię, — abym w tym uścisku znalazła pomoc i oparcie przeciw twojej, nademną przemocy.

Aby zmięł choć na chwilę ten karcący głos i zapewnił mię, — że choć młodość moja i krasa jak owa biała róża ma jedynie starego zamku rozweselać mury, — kwiaty jej nie dadaremnie jednak świeżą jaśnieją urodą, bo są oczy, co się nią cieszą, bo są usta co z jej kielicha rozkosz piją, bo jest dusza, co w niej życia czar i ozdobę znajduje...

Usta jego jednak pozostały zimne, ramiona nie objęły mnie ciepłym uściskiem, a oczy z surową bezwzględnością ślizgały się po mojej twarzy.

Mówił dalej tym samym głosem, ostrym, stanowczym:

— Nie trwóż się, nie drżij, nie patrz na mnie oczami zranionej lani. Jesteś bardzo jeszcze młodą i dziecinną, cieszy cię blask jedwabiu i klejnotów, które idą w zawody z krasą twojej jasnością.

— Odczuwam twe życzenie i pragnę je spełnić, dlatego, aby nie czytać w oczach twoich wyrzutu, że cię zamykam zazdrośnie w starego zamku murach, a najbardziej dlatego, aby się przekonać, czy pragnienia twe z próżności jedynie płyną, czy też są wytworem ziej i przewrotnej duszy.

— Rozsyłam więc jutro giermków po okolicy, spraszam rycerzy z bliska i z daleka na łowy, na uczyty, na biesiady.

— A ty oblecz się w najpiękniejszą z szat twoich, szyć i skronie ustrój w perły i klejnoty i ócz swych błaskiem, lic białością, ust szkarłatem, wab, pociągaj, czaruj, abyś miała dość pastwy dla swej niewieściej próżności...

Słowa te jak grom spadły na mnie niespodziewanie, — nie budząc radości, lecz przeciwnie nieopisaną trwogą napętniając duszę.

I znów jak błyskawica zabłysło w niej pragnienie i zgąsło zdmuchnięte chłodem jego spojrzenia.

Chciałam do stóp jego się rzucić i jak o największą łaskę błagać, aby zaniechał swego przedsięwzięcia, — aby mnie biednej, słabej nie rzucał w wir przygód i niebezpieczeństw, które mogą zakłócić pokój naszego cichego pożycia.

Nie uczyniłam tego jednak, bo wiedziałam, że prośba ta byłaby daremną — wola męża mego silną i nieugiętą jest jak żelazo...

Rzekłszy to, pożegnał mnie zimnem skinieniem głowy, a ja pozostałam sama z bijącym sercem, z tętniącymi skroniami.

Duszno mi było, — ciasno, straszno w ponurej komnacie, zapragnęłam orzeźwić się, ochłodzić i wbrew zwyczajowi mieszkańców tego zamku wśród nocy wybiegłam na balkon, tu wsparta o kamienną ballustradę utonęłam w przykrych rozmyślaniach i przeczuciach.



Noc była księżycowa, jasna, migotem gwiazd iskrząca, w ogrodzie tonącym w łagodnym błękitnawym blasku działały się jakieś przedziwne czary...

Słowik zawodził swą pieśń miłosnej tęskoty pełną, drzewa szumiały z cicha, pochylając się lekko pod wietrzyka powiewem, jakby zapraszając w swe tajemnicze cienie.

Kwiaty zmęczone całodziennem w słońce patrzeniem omdlewając na posłaniu liści, odorującą woń rozwiewiały dookoła.

Świętojańskie robaczki migocąc jak szmarady mego dyademu, kołysały się na gałązkach paproci.

Stałaś wówczas przy mnie, w jakieś jaskrawe przyodziana szaty, uśmiechałaś się i lekkim oddechu twego powiewem pieściłaś zamyślane moje czoło. Lecz nie ujęłaś w dłoń arfy mej duszy, ani swych pieśni nie nuciłaś, wiedziałaś, że tu w twojem królestwie spełniają to wszystkie podlane tobie potęgi.

Rozpostarłaś tylko swój srebrem tkany welon i owinąwszy niem moją duszę, noc ową, księżycu światło, słowika śpiew i natury rozmarzenie, połączyłaś nas w jeden wielki akord...

Nagle, gdzieś zdala przy płynęła do mnie melodia pięknym męskim śpiewana głosem:

Leć pieśni moja, księżycu złoty
Promień wpleć w tęczę mego natchnienia —
I czuwających światów tęsknoty
I gwiazd modlitwy, ziemi westchnienia.

Leć, aby zamku tego zakłócić
Spokój zaklęty w głębokiej ciszy
Uśpionych komnat, leć, by tam rzucić
Żar mej miłości, niech cię usłyszysz

Starego zamku precudna pani
I niech okienko swoje otworzy —
Gdy moja miłość tą pieśń jej w dani
Pod stopy złoży.

W blaskach księżycyca na murze otaczającym zamek ukazała się smukła postać mężczyzny, po chwili utonęła w cieniach nocy, aby potem znów wypłynąć w błękitnym świetle na żwirem wysypanej ścieżce tuż przed balkonem, na którym stałam.

Był tak blisko, że mogłam rozpoznać rysy, włosów odcień, ubrania brwę, poznałam wówczas, że to był ów rycerz czarnooki, który wraz z mym mężym idąc na bój o szarfę mię prosił.

Oczy nasze się spotkały, — wylękle me spojrzenie utonęło przez sekundę w pałającym jego wzroku, poczem zmieszana, przestraszona, rzuciłam się ku drzwiom mej sypialni.

Tu przyciskając dłonią bijące serce, upadłam na kolana przed krzyżym nad łóżkiem wiszącym i tak klęczałam długo, modląc się bez książki, bez różańca, bez słów, niemą modlitwą z trwogi omdlewającej duszy.



Nazajutrz szli posłańcy, ze starego zamku rozesłani do wszystkich dworów okolicznych, aby sprosić gości na łowy, na ucztę, na biesiady.

W domu naszym zapanował niebywały dotąd ruch.

Sprzątano i porządkowano komnaty, wieńcami strojono baszty i bramy. W kuchni i piekarni od rana do nocy przysposabiali smaczne potrawy, a z głębokich piwnic omszone wytaczali beczki.

Niedługo zaczęli się zjeżdżać rycerze konno i w kolasach, z żonami i córkami, w towarzystwie dworzan, giermków i sług.

Powitały ich salwy z wież zamku, muzyka zagrała, otworzyły się wielkie gościnne komnaty, po których rozplynał się różnobarwny, gwarny, wesoly tłum.

Ustrojona w najpiękniejszą z moich szat błyszcząca klejnotami, witałam wraz z małżonkiem moim nadchodzących gości.

Nagle drgnęłam — w oczach mi pociemniało kurczowo chwyciłam się ręki męża.

— Książę Henryk — zadźwięczało mi w uszach poczem uczułam jak dłoń miękka, a silna reka moja podjęła i do ust ją tuli...

Przedemną stał smukły czarnooki rycerz, którego piękna postać od onej księżycowej nocy silnie się w mej pamięci zarysowała.

Stałam tak przed nim nieśmiała, drżąca, spłoniona, — nieśmiejąc oczu podnieść, aż nowa fala gości nas rozdzieliła...

Usiedliśmy do ucztę, mój mąż sam wskazał mi miejsce obok księcia, które też zajęłam machinalnie posłuszna, płonąć pod jego pałającym spojrzeniem.

— Sliczne masz rzęsy dostojna pani — rzekł po chwili wzajemnego milczenia — lecz nienawidzę ich dzisiaj, bo ukrywają przed moim wzrokiem oczy twoich promienie.

Splonęłam jeszcze bardziej i jeszcze szczelniej zakryłam oczy rzęsami...

— Dla czego się tworzysz złotowłosa Blanko? Czy przestrasza cię śmiałość mojej mowy, czy żar mego spojrzenia. Czy też może — dodał ciszej — wspomnienie owej nocy gdyś z balkonu poraz pierwszy w oczy moje spojrzała i uciekłaś jak przed jakimś widmem złowrogiem?...

Wreszcie zdobyłam się na odwagę, podniosłam powieki i dumnie rzekłam wesolo z udaniem zdziwienia.

— Więc to księżę, ćwiczysz się w przesadzaniu murów i zakłócając sen mieszkańcom starego zamku nocnych przygód szukasz!...

Myślałam wówczas że to giermek młody do paniem służebnych czułą śpiewa serenadę. — Wam mości Księżę, taka rola nie przystoi!..

Mówiłam to ostro, patrząc mu prosto w oczy -- on jednak na słowa me nie zważał, tylko płomieniem swych oczu w źrenicach mych utonął.

Potem płomyki jego spojrzeń usunęły się na twarz moją, szyję, ramiona, — ślizgały się po licach, ustach, rozpuszczonych włosach, po całej postaci.

I czułam jak się pod dotknięciem tych spojrzeń młoda krew na twarz moja rozpala, wre, tętni, ogarnęła mię przez sekundę niewypowiedziana błogość, która sercu radośnie bić każe, oddech w piersi wstrzymuje. Księżę wchłaniając w duszę zmienną grę uczuć na mojej twarzy i nie spuszczać ze mnie wzroku tak mówił dalej.

— Nie pomnisz zapewne piękna pani, jak przed laty idąc z towarzyszami na wojenną wyprawę, w zamku tych rodziców byłem goszczony, a odjeżdżając o wstęgę cię prosiłem.

Wzgardziłaś jednak moją prośbą, przekładając nademnie dzielnego Konrada.

A ja niestety pokochałem cię już wówczas cudna czarodziejko i choć wiedząc o uczuciach towarzysza przytłumiłem ogień mej namiętności, stałem się jego pastwą teraz, gdy zamieszkałaś w tej samej co ja okolicy...

Widzę codziennie z okna mego zamku po skałach się wspinającą twą jasną postać, widzę cię gdy smutna i samotna dalekie po łąkach i błoniach odbywasz przechadzki, widzę cię gdy na grzbiecie białego wierzchowca, jak wiatr przelatujesz pola.

W ruchach twych, w wyrazie twarzy, w tem rwaniu się w dal, w tem umiłowaniu samotności i natury czytam smutek i

rozterkę twego serca. Przeczuję, że dusza twa żywa, namiętna, rwie się do pełni szczęścia i życia, a pragnień tych nie zaspokoilo małżeńskie twe pożycie...

Odczuwając rozterkę twego ducha, uczuвам głęboką litość dla twej młodości, która jak roślina słonecznych krain w zimnym klimacie zwiędnąć i zmarnieć musi.

Lecz zarazem przeczucia te tchnęły w mą duszę iskierkę nadziei i miłość moja wybuchła ze zdwojoną siłą i ogniem namiętności ogarnęła moje istnienie.

Dziś już zapóźno na rozsądną refleksję, już nawet nie próbuję uczuć mych stłumić, lecz u stóp twoich składam te ognie, co serce me przepalają i błagam cię ubóstwiona jednym dobrem słowem, choćby tylko spojrzeniem ukój mej dusz niepokój.

Śluchałam tych słów niema, bezsilna, omdlała, nie zdolna do żadnej walki ni protestu.

Odurzały one mą duszę pieśniami twemi rozmarzoną, w jakieś czarowne światy porywały mój chciwy wrażeń umysł.

Nie zdawałam sobie wcale sprawy, że idąc za głosem tego pięknego kusiciela musiałabym podeptać święte obowiązki moje, zdradzić męża i stare, szanowne rody nasze wieczną okryć niesławą.

Zwróciłam ku niemu oczy — spojrzenia nasze się spotkały. Musiał zapewne i myśli me w nich wyczytać, bo po twarzy jego przeleciały ognie, oczy zapłonęły radością. — Pochwycił moją rękę i zaczął mówić prędko, stłumionym głosem.

— Oczy twoje dały mi odpowiedź — dzięki ci najdroższa. Jak się losy nasze rozstrzygną — nie wiem. Może być że krwią, lub życiem będę musiał zapłacić tę oto chwilę upojenia. — Teraz jednak jam na wszystko gotów, u stóp twoich składam siły me, mienie, życie i jeśli wszystko stracę, nie żałuję, bo to przez ciebie i dla ciebie.

Śluchałam tej mowy oszołomiona, ubezwładniona, czułam w żyłach mych płomienie wzburzonej, falującej krwi, — a w duszy pełnię bezgranicznego szczęścia.

W tej chwili spojrzawszy przypadkowo wprost siebie oczy me spotkały zimne, surowe źrenice męża mego. — Musiał on długo patrzeć na nas, bo stał naprzeciw, oparty o ścianę błądy, ponury z ręką na rękojeści miecza.

Na ten widok zadrzałam... Światło prawdy przeniknęło moją w siebie zaopatrzoną duszę. — Przejrzałam całą ohydę mojej chwilowej słabości, całą doniosłość jej następstw.

Zerwałam się pod pozorem usłużenia gościom przeszłam do drugiej sali.

Za chwilę uczta się skończyła, wszyscy powstali.

Przed bramami zamku stanęło kilkadziesiąt wierzchowców, oczekujących na myśliwych.

Przebrana w amazonkę dosiadłam białego mego konia i zasmucona, upokorzona poczuciem winy jechałam obok męża.

Książę Henryk często zbliżał się do mnie, śląc mi spojrzenie miłosnej troski pełne, — ale już teraz w blasku tych spojrzeń serce me nie omdlewało w rozkosznym upojeniu.

Przeciwnie, — od chwili ocknięcia się sumienia jakiś chłód śmiertelny padł na kielkującą namiętność moją.

Przeczuwałam, że za tę chwilę słabości, czeka mię jakaś straszna kara, pod której groźbą ugięło się słabe niewieście serce nieczujące w sobie sił do odparcia ciosu.

Książę nie był zwolennikiem łowów, a że i ja nie brałam w nich udziału, w towarzystwie jeszcze kilkunastu osób, pozostaliśmy na brzegu lasu, rozłożywszy się obozem na pięknej polanie.

Zajęłam miejsce w gronie niewiast, unikając rozmowy z księciem, który ciągle pytającym towarzyszył mi wzrokiem.

Dochodziły nas z daleka odgłosy łowów, nawoływanie myśliwych, granie rogów, szczekanie ogarów, rzenie koni, niezwykłym gwarem napelniające to ciche leśne ustronie.

Raptem umilkły wesołe głosy dochodzące nas z kniei, jakaś ponura zapanowała tam cisza. Słychać było tylko szelest liści pod stopami, trzask gałęzi i bicie własnych serc.

Moje uderzyło jak dzwon zwiastujący nieszczęście rozsadzając piersi. — Myśl zaroiła się jakimiś strasznymi marami przeczuć i przewidzeń, których nie mogąc odgonić rzuciłam się w las, przedzierając się jak szalona przez gałęzie i krzewy. Czulałam że jakaś dłoń mię wstrzymuje, że mię głos łagodny upomina i prosi, głuchą jednak byłam na to błaganie.

Na ścieżce wiodącej w głąb lasu stanęłam jak skamieniała... Na przeciw mnie zdążył jakiś ponury, pogrzebowy orszak.

Na skleconych z gałęzi noszach leżały krwią broczące, martwe zwłoki męża mego! Oszałała z bólu rzuciłam się na nosze, które u stóp moich złożono...

— Zapędziwszy się nieostrożnie w głąb lasu za zwierzem, upadł hrabia Konrad ze skały w przepaść... Objaśnił mię czyjś głos.

Straciłam przytomność...

* * *

Złożyli jego trumnę w wielkim familijnym grobowcu, który w kształcie gotyckiej kaplicy wznosi się w środku cmentarza.

W czarnej wdowiej szacie, codzień na tej trumnie świeże pachnące składam kwiaty i pod ponurem sklepieniem grobowca długie spędzam godziny.

Codzień ty o smutna grobowców strażniczko na me spotkanie wychodzisz z ciemnej jego głębi.

Razem ze mną wdowi przyodziłaś welon, który zupełnie bladą twarz twoją okrywa.

Welonem tym otulasz odrętwiałe z bólu czoło moje i łzami spieczone oczy i na strunach w smutku zakrzepłej duszy mojej ponure jakieś grasz psalmy.

A melodie twoje nieskończone mają echo — dźwięczą mi ciągle w duszy.

I gdy z zimnego grobowca przez kwietne, słoneczne wracam łąki i gdy dla odpędzenia ciebie nużącej oddaję się pracy.

Stajesz przedemną podczas wieczornego pacierza i czarnym twym welonem zakrywasz mi miłosierne oblicze Zbawiciela, że nie wiem czy przebaczenie w niem wyczytam, czy tylko gniew i surowość.

★

Mijały lata...

Z twemi pieśniami w duszy snułam się zimna, skamieniała, po promieniejących rozkoszą życia ogrodach i polach. Obojętnym okiem witałam jaskrawych kwiatów uśmiechy, złote słońca promienie drażniły zbolale z płaczu oczy, rozkoszna noc letnia przejmowała trwogą. Ludzi nienawidziłam, wstret we mnie budziło ich udane współczucie i obojętne rozmowy. Wydałam służbie rozkaz nieprzyjmowania nikogo.

Mijały lata...

Zamknięta w mojej samotni, modliłam się i przedłam na kołowrotku nić szarą, jednostajnie długą, jak moje szare, długie, jednostajne dni.

Wieczorami, gdym po cichym dniu na spoczynek się udawała, z wysokiego okna mojej sypialnej komnaty po bladym gwiazd promieniu spływała zawsze powiewna twa postać.

Nadeszły wreszcie chwile gdzie kir czarny w jakieś blade, bezbarwne zaczęłaś zmieniać szaty i pieśni tve nie żałobę lecz smutek i nudę opiewać zaczęły.

I przyszła taka zima, gdzie poprzez zamarzłe, śniegiem okrzepłe obszary, po nad ciszą spowitą ziemią, pieśni owe duszę mą w słoneczniejsze zapragnęły nieść światy.

Wtenczas pomiędzy siłą twych skrzydeł a moją, powagą cierpienia opancerzoną duszą, zaczęła się głucha ponura walka.

Ku końcowi zimy gdy pola, tając poczęły i cieplejszy wiatru powiew unosił się nad ziemią, budząc ją do nowej wiosny, ty coraz śmieiej i natrętniej myśl mą w dalekie wzloty porywać zaczęłaś.

Po takich podróżach wracała dusza moja zmęczona i smutna, wyrzutów pełna i niepokoju i niejedną noc spędziłam wówczas

bezsenie, tarzając się w prochu przed wizerunkiem Ukrzyżowanego, którym się przed skrzydeł twoich przemocą zastonić chciałam...

★

Nadeszła wiosna, królowa.

Przez łąki i pola, lasy i błonia szła w blaski stubarwne strojna, gdzie stąpiła, tam radość siała, miłość i życie.

Przez wąskie okienko sklepionej komnaty wsunął się złoty promyczek, wonnej królowej wysłannik a z nim wtargnęłaś i ty różowa i promienna cała.

Spojrzałam na moje żałobne szaty i znaną, udeptaną ścieżką pośpieszyłam do grobowca.

Tu zastałam ciszę, chłód i obojętność śmierci.

Rzuciwszy na trumnę zerwane po drodze kwiaty, uklękałam modląc się gorąco, ale w modlitwie tej nie było już owej szarpiącej duszy rozpaczy — była cicha rezygnacja, spokojne pogodzenie się z koniecznością losu.

Przez otwarte drzwi grobowca płynęły wiosny ciepłe oddechy i gwarne odgłosy i ty znów w jasnej szacie stanęłaś u jego progu, wabiąc mię ku sobie.

Nagle popłynęły dźwięki twojej pieśni.

Na grobach rosną wonne kwiaty,
Siej je wiosenny siew.
Żałobne kiry, smutku szaty
Rozwiewa czasu wiew.

Popiół urn szary wsiąka w ziemię,
Użyźnia ludzki łąn.
Z popiołu wstaje drugie plemię,
Śmierć z życiem idzie w tan.

Duch w nieskończoność życie tworzy
I nieskończoność form,
Gdzie rośnie ducha kształt i mnoży
Się według bożych norm.

A więc niech sieje wonne kwiaty
Na grobach wiosny siew.
Niech w mgłę rozwiewa smutku szaty
Nieśmiertelności wiew.

Słuchając twej pieśni dusza moja wyrwała się z twoich objęć, stanęła między mną a tobą i rozkrzyżawawszy ramiona spytała surowo:

Kim jesteś ty, co zakłócasz sen grobów i uciszenie dusz które grób od życia oddzielił?!...

Ty spojrzałaś na nią litosnem okiem, które objęło i ten mały przez nią widziany skrawek ziemi i jakieś nieskończone bezmierne wszechświata obszary i rzekłszy tylko

— Jam jest Nieśmiertelność — uleciałaś.

Ślaniając się, poczołgałam się do ołtarza i ku ukrzyżowanej postaci Zbawiciela, który na żalobnym krzyżu białe wyciągał ramiona, wzniosłam strwożone, pytające spojrzenie.

— Czy wolno mi będzie zaczerpnąć do duszy ożywczych wiosny promieni? czy wolno cieszyć się jej darami i znów ukochać życie?...

Lecz nie mogłam się dosłuchać, ni dopatrzeć odpowiedzi. Śpiew twój rozbudził, rozegrał w mej duszy jakieś ogromne, namiętne szczęście pożądanie...

I ozwały się uspione, nieme dotąd struny i poczęły płakać, jęczyć i skarżyć się tak boleśnie, że z oczu popłynęły łzy.

*

Minęła wiosna.

Przekwitły bzy i fijołki, zamilkła piosenka słowika, pociemniała zieleń trawników.

Wróciłaś wtenczas znowu o uroczą letnich czarów bogini usiłując pociągnąć mię ze sobą w królestwa twego zaczarowane światy i ich przepych przed oczami memi rozsnuwałaś, aby rozbudzić drzemiące w mej duszy pragnienia.

Lecz ja, o ile sił wyrывałam się z chciwych twych objęć i gorączkową żądzą myśli i czynu trawiona rzucałam się w wir pracy, poczem wyczerpana, znużona, znudzona jednostajnością życia i pustką wyobraźni zasypiałam snem spracowanej robotnicy.

Tak trwało dosyć długo, ale wreszcie nadszedł czas owych upalnych letnich dni, po których natura nie usypia, lecz odżywa dopiero w dobroczynnym nocy chłodzie.

I wtenczas od gąszczów starego parku idą ku memu oknu chłodne, ożywcze oddechy, wnosząc wraz z wonią usypiających kwiatów powiew jakiejś cichej, uroczystej tajemnicy.

A z nimi ty, zstępujesz do mej komnaty jasna i uroczą i wabisz mą duszę kuszącym ust twych uśmiechem.

I przyszła znów chwila zwycięstwa twojego...

*

Po kamiennych schodach, które wprost z mego balkonu w ogród prowadzą, szłam po żwirze wysypanej ścieżce, na której blade światło księżycy przez drzew gałęzie fantastyczne rysowało wzory.

Potem ukryłam się w cieniu lip i pomknęłam szybko w głąb ogrodu, tam, gdzie się kończą aleje parku, przechodząc w ciemną lasu gęstwinę.

Tu otworzyłaś przed oczami memi królestwa twego podwoje.

Noc jakaś przedziwnie cicha, jakiś spokój przedwieczny jakby zaklęciem wróżki wywołany leży na tych szerokich rozstrzępionych gałęziach, które jak rzeźbione stropy Alhambry łączą się nad mą głową, przepuszczają rzadko blade światło księżycy.

I cisza owa zaczęła budzić znowu siły długo stłumione, ziemskie niższe siły — przedwiecznej miłości duszy do swej doczesnej na ziemi postaci.

Wysłuchałam się w modlitwę ziemi i przyrody, o przyszłych swych kształtach marzenia i człowieczą nieświadomą siebie modlitwę, o przyszły doskonalszy kształt bytowania. Lecz nie rozpoznałam w głosie duszy zbiorowej świata i mojej małej jeszcze i ciemnej, żadnego innego motywu ani myśli ani żądy, jak tylko troskę o szczęście na ziemi...

Cała moja istota skupiona w sobie i rozpierzchła zarazem w odmęcie życia, przykuta jeszcze do niego tysiącami więzów jak życie mocnych i nierozzerwalnych domagała się owego szczęścia jedynie...

★

Nagle dał się słyszeć cichy szelest gałęzi i coraz wyraźniejszy odgłos kroków i za chwilę na skrócie leśnej drożyny zarysowała się wysmukła postać mężczyzny.

Był to książę Henryk, szedł powoli z głową wzniesioną i oczami utkwionymi w ciemne okna zamku wznoszącego się za lasem.

Nie dojrzał mnie ukrytej w cieniu drzew i dopiero zrównawszy się ze mną, okrzykiem radości mię powitał.

— Pani mej duszy, Blanko najdroższa, jakież to spotkanie błogosławione, jakież raduje się serce moje, które zwątpiło już w możliwość ujżenia cię na tym świecie.

Od chwili naszego, tym strasznym wypadkiem spowodowanego rozstania, co dzień u bram twego zamku, o tobie zasięgałam wieści i codzień odprawiano mię bezlitosną formułką, że przed gośćmi drzwi twoje zamknięte.

Nie domagałem się aby dla mnie uczyniono wyjątek — czekałem...

Mijały lata... Widziałem cię codzień, piesze i konne odbywającą przechadzki, lecz przez cześć dla twego cierpienia nie śmiałem stanąć na twej drodze.

Czekałem wierząc w moją dobrą gwiazdę i w potęgę mojej miłości, lecz nieraz fala zwątpienia i goryczy nawiedzała mą duszę.

A więc odepchnęłaś mię, mówiłem, — więc na wieki rozdzieliła nas twoja żaloba, więc nie wolno mi nawet stanąć przed tobą i u stóp twoich złożyć moje współczucie, moją przyjaźń i gotowość do usług.

Uważałem to jako karę za to, że wówczas obrazilem cię mojem wyznaniem. Ale kara to była zbyt sroga.

Wierzaj mi, ukochana, że odpokutowałem to stokrotnie przez wyrzuty sumienia, i przez naszą tak długą rozłąkę, podczas której byłem pastwą szalonych walk ducha i nieopisanej rozterki myśli.

Ale już wszystko się skończyło — pokuta dopełniona, spotkałem cię, mówię do ciebie, dotykam twoich szat. Musisz wysłuchać moich słów, musisz wejrzeć w głębię mojej duszy, zobaczyć ogrom i ból mojej miłości...

Gdym cię zobaczył, odżyły we mnie znów wszystkie nadzieje, wszystkie żary, wszystkie pożądania.

Czuję, że miłość moja jako ptak z więzów uwolniony, prostuje swe skrzydła i ku tobie leci a ja jej nie wstrzymuję, lecz do stóp twych ją ścielę bierz ją i czyni z nią co chcesz ukochana...

Słowa te, jak rozpalonej lawy potok płynęły ku mnie, porywając w swe ogniste nurty, lecz nie ośwładnęły mną zupełnie.

Powstała pod ich dotknięciem w duszy mojej walka przeciwnych sprzecznych uczuć.

Czułam, że się zbliża chwila, której przyjscia oczekiwałam z gorącym choć nieuświadomionem pragnieniem — z nieopisaną zarazem obawą i wstrętem nawet.

Kochałam go od owej nocy księżycowej, gdy namiętna pieśń jego, ognisty posiew uczucia rzuciła do spragnionej miłości duszy mojej.

Dzieliła nas wówczas obrączka połyskująca na mym palcu, a dziś czyż nie rozłączyła nas na wieki ta trumna tam w grobowej kaplicy.

Spojrzałam z rozpaczą w jego smutne, pytające oczy.

Cóż mu odpowiem?

Odwróciłam spojrzenie i zaczęłam mówić pospiesznie.

Rozejdźmy się książę, nasze drogi w przeciwne strony prowadzą, ja jestem smutną, złamaną, nie mogę dać szczęścia nikomu.

To rzekłszy powstałam i skierowałam się ku ścieżce prowadzącej do ogrodu.

Rzucił się za mną, zastąpił mi drogę, a ujawszy me ręce w swe dłonie zawołał z rozpaczą:

— Zaczekaj Blanko, przez miłość Boską zastanów się czym są słowa twoje. Czy rzeczywiście nienawidzisz mnie, czy może kochasz innego?

Gdy to potwierdzisz, odejdę..., ale to być nie może, ja wiem, że tak nie jest...

Więc dlaczego odrzucasz moją miłość, — chcesz zniszczyć me życie, zdeptać szczęście, które u stóp twych ściele!...

Mówisz, że jesteś złamaną, że szczęścia nie możesz dać nikomu, ty uosobienie szczęścia, które więcej blasku w sobie mieścisz niż wszystkie słońca wszechświata, której uśmiech nieba otwiera podwoje...

Miałabyś się wyrzec miłości ty, która ją w duszach innych zapalasz!...

Usunęłam łagodnie wstrzymujące mię ramię i szłam prędko ku furcie ogrodowej, słysząc jeszcze za sobą te słowa.

— Nie Blanko, to nie jest twoje postanowienie, zapytaj jeszcze raz twego serca, jutro przyjdę się dowiedzieć co powiedziało. Przyśpieszyłam kroku, aby nie słuchać tego głosu, którego metaliczny dźwięk rozmarzał duszę, osłabiał postanowienie.

Zatrzaśła ciężka dębowa furta... jeszcze kilkadziesiąt kroków przez ogród, kilkanaście kamiennych schodów, a znalazłam się sama w mojej sypialni.



Przed hebanowym krucyfiksym paliła się czerwona lampa, a od otwartego okna splywała błękitna wstęga księżycowych promieni.

Wsunęłam się w głąb niskiego fotelu, pogrążona w zadumie i widziałam jak z tych dwóch odmiennych, a tak harmonijnie łączących się światel powstaje podobna tobie mglista, przeźrocza postać i coraz bardziej ku mnie się zbliża...

I znów ujęłaś w swe dłonie moją zboląłą duszę i znów stała się ona w twojem ręku dźwięcznym i czułym instrumentem. na którym grałaś wtór do twojej pieśni.

Wschodzących światów lodowe skronie,
 Budzą się w jutrzni złotych uśmiechach.
 I głos przedwieczny spiący w skał łonie
 Tryska jak strumień w tysięcznych echach
 Na martwych głazach wstają paprocie,
 Gdzie w pierw lodowce były i cienie.
 I codzien nowych gatunków krocie —
 Gdy w kształty wcieli się sen-marzenie
 ziemi — miłości.

Rozlana w pyłach złocistych słońca
 W serc się człowieczych sączysz kielichy.
 W promieniach twoich budzi się drżąca
 Dusza, co śniła sen szczęścia cichy.
 W blask się i barwę wzmacza i stroi —
 I jako bóstwo słoneczne — złota,
 W koronie ludzkich przeznaczeń stoi —
 Gdy w kształty wcieli się sen-tęsknota
 duszy o miłości.

Było południe.

Po nocy bezsennej, z wypiekami zmęczenia na poblądej twarzy chodziłam gorączkowo po wielkiej gościnnej komnacie, przyciskając co chwila niepokojem wezbrane serce.

Wbrew twojej pieśni, wbrew mojej miłości postanowiłam księciu odmowną dać odpowiedź.

Wreszcie skrzypnęły ciężkie podwoje i w ciemnej ich ramie, stanął on — piękny, szczęściem promienny.

— Przyszedłem po wyrok — rzekł — lecz tutaj ciemno, ponuro, może tam w blaskach słońca weselsze znajdziemy schronienie.

Wstałam i jak senna w ogród powieść się dałam.

Była w powietrzu wielka cisza, jakaś dziwna ubezwładniająca parność.

W alei starych lip był silny, nieprzebity cień, lecz chłodu nie czuliśmy wcale.

Tu spoczęliśmy i on zaczął mi mówić o swej miłości wielkiej, namiętnej, o szczęściu jakie mi dać pragnie, o rozpaczy, w jaką pogrąży go moja odmowa.

Ja słuchałam smutnie, z duszą, bólem wezbraną z oczami pełnymi łez.

Obok nas kwitły jaśminy, których silna upająca woń owiewała nasze głowy.

Kwiaty tam na klombach, ku kroplom rosy otwierając spragnione kielichy tęsknie oczekiwały chłodzącego powiewu.

A nad nami wielkie złote okno słońca cicho sypało swe żary i otulając ziemię namiętne swem objęciem, zdawało się wraz z całą przyrodą z rozkoszy omdlewać.

I zdało mi się wtenczas, że słyszę w szumie tych drzew, czuję w woni krzewów, widzę w kwiatów omdleniu jakąś wielką mistyczną potęgę, która cały ten ogród, cały bezmiar przyrody, wszystko istnienie przedemną i nademną, łączy w jeden wielki harmonijny śpiew.

I że ten śpiew z dźwiękiem słów księcia Witolda zlewa się w jedną myśl w jedno wielkie wiekuistą potęgą brzmiące słowo.

A słowo to we wszystkie blaski i barwy tęczy strojne, jak korona najbogatszego z królów u stóp moich leży i byle ręką sięgnąć, a podejmę to szczęście jedyne, jedyną prawdę, jedyne pożądanie wszechzycia...

— Pójdź ze mną ukochana, wstąp w domu mego podwoje, a raj ziemski otworzę przed tobą.

Poświęcę ci wszystkie bogactwa mego skarbcza, całą księżęcej siedziby mej wspaniałość, wszystkie duszy mej płomienie, wszystkie pożądaní moich cele i stworzę ci z nich królestwo, w którym samowładnie rządzić będziesz.

Głos jego drzał, miękł coraz bardziej, aż wreszcie zmieniony cichy szept, ślizgał się po rozwianych moich włosach i palających policzkach, a gdy ucichł, omdlała zwiślam w jego ramionach.



I przyszły potem dnie jasne, promienne.

W wielkim księżęcym pałacu byłam panią wszechwładną i rządziłam liczną służbą, dworzanami, orszakiem dam dworskich i sercem księcia — małżonka mego, dla którego życzenie moje, kaprys, skinienie było rozkazem, prawem.

Dopięłam wówczas szczytu niedoścignionych jeszcze niedawno marzeń moich strojna w szaty i klejnoty bajecznej ceny, w bogatych salach naszego pałacu byłam przedmiotem zachwytu mężczyzn i zazdrości kobiet.

Otaczały mię zawsze tłumy pochlebców i wielbicieli, trubadurzy śpiewali mi swe pieśni, minstrele układali na moją cześć czułe ronda i sonaty, astrologowie świetne dla mej przyszłości stawiali horoskopy. Pobożni pielgrzymi ze świętych miejsc znosili pamiątki i amulety otwierając wrota nieba.

W szczęściu tem, jak kwiat w słońcu rozkwitła moja uroda i świadomość mych wdzięków i ich potęgi.

Przemieniła się też i cała duchowa moja istota, — stałam się śmiałą, mowną, pewną siebie.

Dwór był ciągle pełny gości, dworzan cudzoziemców, więc trzeba było być zawsze uśmiechniętą, strojną, wesołą, gotową na ich przyjęcie.

Nie było czasu na cichą zadumę, to też w tym okresie nie odwiedziłaś mnie ani razu o wieszczko marzeń wieczornych.



Mijały lata...

I przyszły chwile gdzie podczas największego ożywienia i zabawy zaczęłam odczuwać twoją obecność.

Nie miałam czasu poddać się twemu urokowi ni w pieśni twe się wsluchiwać, lecz nieraz spostrzegałam przerażona, że

mglista szat twoich tkanina zasłania mi w czasie balu ożywioną twarz tancerza, lub rozkochany wzrok męża mego.

Popadałam wówczas zawsze w krótkotrwałą zadumę, z której się obudziwszy wśród wesołego balowego tłumu czułam, że ogarnia mię fala smutku...

Czego mi było brak?... nie umiałam określić, lecz zdawało mi się, że powodem tej nowej tęsknoty jest płytkość i bezmyślność owych zabaw, i ty o przewodniczkę dusz, chcesz mi ukazać inne, piękniejsze światy.

Przeczuwałam, że gdzieś daleko, w krainie myśli jest jakieś inne pełniejsze życie i że bogactwo, miłość i wesołość, nie mogą być jedynym dążeniem ludzkich celem, — że świecą gdzieś jaśniejsze gwiazdy, choć dalekie, ku którym samo wspinanie się napełnia duszę rozkoszą.

I wówczas stanęłam u progu jakiejś nowej życiowej zagadki, którą ręka twoja wskazywała jako cel moich dążeń, porywając ku niej gorącą niezaspokojoną mą duszę.

I patrzyłam w tę tajemną, a wabiącą dal szukając daremnie drogowskazu i zapragnęłam, aby mię ktoś powiodł przez tę ciemność, oświecił, pouczył i szedł ze mną ręka w rękę, tam gdzie lecieć pragnie myśl moja.

Stanęła mi wówczas przed oczami piękna, droga postać męża mego, przed jego to wiernym kochającym wzrokiem postanowiłam otworzyć mą duszę.

★

Było to w takiej chwili gdzie w ciszy małej tureckiej komnatki odpoczywaliśmy po wczorajszej biesiadzie.

Nad naszymi głowami unosiły się jedwabie zdobytych na Turkach namiotów. Złotem haftowane półksiężycy na kopułach błękitnych meczetów połyskiwały w blaskach kaganków. Niskie ławy pokryte miękkimi kobiercami i poduszkami zapraszały do spoczynku.

W luźnej domowej sukni, wciśnięta w głąb poduszek pociągnęłam ku sobie Henryka i ukrywszy twarz na jego piersi zaczęłam moją spowiedź.

Mówiłam długo...

Mówiłam o tobie o zwodnicze bóstwo, które mię coraz to nowszymi i ponętniejszymi kusisz obietnicami.

Spowiadałam się z pierwszych odwiedzin twoich, gdyś mą duszę napełniła czcią dla bohatera i w pożyciu z nim szczęścia szukać mi kazałaś.

Potem rozkazałaś mi odrzucić jego chłodne, poważne przywiązanie, ukazując mi w obłokach obraz wielkiej, namiętnej miłości.

— I dzisiaj ja w blasku tej miłości, w blasku klejnotów, któremi mię obdarzyła miłość twoja, stoję jak żebrak z próżnymi rękami, spragniona i łaknąca, tęskne w dal wyciągając dłonie!...

On słuchał z początku ciekawie; powoli jednak twarz jego nabierała wyrazu niezadowolonia, znudzenia, wreszcie przerwał mi zniecierpliwiony.

— Więc teraz, gdy jak mówisz, stoisz przedemną w blasku miłości i klejnotów, czegoż znów pożąda kapryśna i niezaspokojona fantazja pani mojej?...

Rozkażesz może bym ci pałac z koralami wybudował, a na nim wieżę tak wysoką, byś z niej gwiazdy na niebie, jak kwiaty po łące tą drobną rączką zrywać mogła.

A może pragniesz ozdobić twą białą szyjkę perłami wielkości gołębiego jaja, lub na śliczne twe stopki włożyć brylantami tkane trzewiczki.

Rozkazuj piękna kapryśnico, w miarę możności spełnię wszystkie twoje życzenia.

Mówił to tonem lekkiej ironji, uśmiechając się przytem po-błażliwie, jak do ukochanego, kapryśnego dziecka.

Mnie zabolął ten ton, lecz niezrażona mówiłam dalej.

— Nie, nie, nie żądam nic takiego, — to czego pragnę, stokroć jest kosztowniejsze, stokroć pożądańsze i piękniejsze. Witoldzie ja pragnę — ja pragnę... duszy twojej...

— Tak, daj mi swoją duszę, otwórz przedemną jej podwoje, bym czytać mogła twoje myśli, twoje uczucia, twoje dążenia, bym się jej blaskiem oświeciła, jej ciepłem ogrzała, abym mogła ukochać to, co ty kochasz, i z tobą razem zdążać tam, gdzie świeci cel tęsknot naszych.

— Ty mi wskażesz ów cel i ku niemu prowadzące ścieżki. Wesprzesz mię ducha i ramion twoich siłą.

Nabrałem oddechu by mówić dalej, on jednak przerwał mi szorstko.

— Przestań Blanko, to co mówisz są fantazje chorobliwej wyobraźni, duszę moją oddałem ci razem z miłością, ty jedyna w niej zamieszkujesz.

— O cel swój pytasz... jak możesz wątpić, chodź tu do zwierciadła i patrz — po co te usta różane, po co te płonące źrenice, po co ta złota kaskada złotych włosów, po co?...

— Aby dawać miłość, szczęście, pieśczętę i znów pieśczętę, szczęście i miłość... i tak w nieskończoność...

Mówił coraz namiętniej, aż głos jego przycichł na moich ustach,... które pocałunkami zmusił do milczenia.



I znów popłynęło życie jasną, ruchliwą falą uciech i gwaru, a ja po tej fali szłam strojna, wesółą, darząc męża pieśczętą,

gości uśmiechami, pragnąc w wirze tym utopić duszę, słumić ogień jej pragnień.

Niedługo jednak umilkł ten gwar wesoly.

Męża mego do stolicy powołały sprawy ojczyzny, musiały więc na długo opuścić dom i mnie, którą żegnał z żalem głębokim.

Po jego odjeździe dusza moja pogrążyła się w ciszy smutku i marzeń i mimowolnie przędła dalej nić srebrną, którą ręką twoją dawno już opleść ją usiłowała.

Henryk żegnając mię, opiekę nademną złożył w ręce nieznanego mi dotychczas sąsiada Stefana, który wkrótce po jego wyjeździe przybył do zamku.

* * *

Kazałam go wprowadzić...

Stał na progu wysmukły, modrooki, o rysach idealnej, prawie kobiecej delikatności, owiany jakimś dziwnym smętkiem, czy powagą.

— Przypominam ci się księżno — rzekł — znajomość nasza dawna i krótka jak mgnienie oka.

Widziałem cię po raz pierwszy i jedyny w domu twoich rodziców, gdzie na bój idąc, o szarfę cię prosiłem.

Prośba moja nie znalazła posłuchu, była to zła wróżba, zostałem raniony — kula przeszła mi ramię nie osłonięte twoją wstęgą i na wieki pozbawiła mię możności władania bronią...

Zmieniłem oręż na pióro i dziś widzę, że ono właśnie było przeznaczonem mi narzędziem bojowania.

Niem bronię prawdy przeciw kłamstwu, krzywdy przeciw bezprawiu, niem walczę o zwycięstwo szczytnych a znieważanych idei. Pragnę za Bożą pomocą uczynić je mieczem ognistym sprawiedliwości.

*

Osiedlił się w zamku...

Całe dnie spędzał samotnie w bibliotece na jakichś naukowych studjach, lub dalekich wycieczkach w okolicę, skąd powracał rozszargany; zamyślony i na długo zamykał się w swojej pracowni.

Wieczorami schodził czasem do tureckiej komnatki, gdzie zwykle siadywałam i dźwięcznym swym głosem opowiadał o dalekich podróżach, wojnach i przygodach.

Towarzystwo to i te opowieści wniosły w moje życie jakiś dziwny, nieznanym dotąd żywioł.

Wiał od tego człowieka tajemniczy czar fantastyczności, melancholji i jakieś smętnej powagi. Myśl jego wnikała głęboko w istotę zjawisk życiowych, badając ich tajniki i wysnuwając

oryginalne, a olśniewające hipotezy, których dowodził, przekonywująco i z zapamiętaniem.

Bywały takie chwile, gdzie rozumowania te jak drewna zapalonego ogniska wybuchały ogniem natchnienia, a myśli płomienne, jak iskry leciały w niebo.

Temat naszej rozmowy każdego wieczora stawał się bliższy, bardziej szczerzy, bardziej osobisty.

Raz zaczął mi mówić o sobie, o walkach swego ducha, o swych smutkach i zawodach.

Począł po raz pierwszy otwierać podwoje swej duszy, rozrzucając przed zdziwionymi memi oczami całe bogactwo i świeżość jej treści.

Mówił, że są chwile, gdzie duch jego ulega jakiejś dziwnej niewytlómaczonej sile, która jest potężniejszą niż wola, niż trzeźwość rozumu.

— I wtenczas ogarnia mię jakaś wielka niepokonana tęsknota i jak górski potok, szeroko rozlany, wartki, a przezysty, pieni się przed oczami mej duszy cel mego życia.

Widzę, że tam w oddali, w słonecznej krainie myśli, bije dla nas źródło, obfitych prawd, że ku temu źródłu dążyć nam potrzeba, bo w niem ukojenie tęsknot naszych, w niem pokój i prawda, w niem harmonja i dobro, w niem piękno i miłość.

Tam u tego źródła winniśmy zaczerpnąć jego strugi świetlanej i światła ją nieść... duszom tęsknym, smutnym, głodnym w ofierze. —

Słuchając tych słów uczułam wielką, nieznaną dotąd radość, ową błogość, jaką napawa nas na obczyźnie dźwięk mowy ojczystej, czułam, że z nich płynie ów promień światła i ciepła, przy którym się dusza moja rozjaśni i ogrzeje.

Wiedziałam już, że tu znajdę odpowiedź na dręczące mię pytania, zrozumienie moich myśli, współczucie dla ich rozterki.

Zacząłam więc mówić o moich pragnieniach i niepokojach, o twojej nademną władzy i przemocy.

On słuchał, mistyczne jego oczy utonęły w moich źrenicach, zdając się wchłaniać w siebie każde słowo, każdy dźwięk mego głosu.

Gdym skończyła wyciągnęłam dłoń ku niemu.

— Samotna jestem i słaba — rzekłam — wesprzyj mię hrabio Stefanie, chodź ze mną w krainę mojej tęsknoty.

On tuląc do ust moją rękę — odrzekł:

— Przyjmuję z radością dłoń twoją księżno. Nie jako przewodnik, lecz jako pielgrzym ubogi dążący również jak ty w nieznaną drogę, duszę twą znam oddawna i cel jej przejrzałem...

— Przeczynałem w tobie jedną z owych natur, które w pogoni za urzeczywistnieniem ducha pięć się będą na szczyty, lub w przepastne schodzić głębin.

— Że nie zaspokoi cię żadna z ludzkich szczęśliwości, nie upoi żadna z rozkoszy, która nie płynie z ducha.

I dlatego zawładnęłaś od pierwszego wrażenia moją myślą, która cudny twój obraz, jako ideał uduchowionej kobiecości ustawiła na swym ołtarzu i odtąd niepodzielną cześć ci składa.

Poznawszy cię, widzę, że nie omyliłem się, żeś ty ta sama, która od lat królujesz na tronie mojej wyobraźni, piękna, słodka, wybrana.

O duszy jak arfa czulej, pełnej nadziejskich drgań.

Z tą aureolą myśli nad czołem, z temi oczami płonącymi, stworzona, by być natchnieniem poety, by unosić ducha jego tam, gdzie cię niosą skrzydła twojej tęsknoty.

A więc, weź mnie ze sobą księżno, za jej głosem pójdziemy razem w krainę światła.

Tam, u jego źródła pełnemi rękami jasnych zaczerpiemy promieni, aby je tu na ziemi rozsiewać tam, gdzie ciemnota, nędza, występki.

Tak Blanko, czuję, że aby się stać poetą, brakło mi twej duszy jedynie, byś do mojej siły przyłączyła twoją słabość pełną wdzięku, do mojej trzeźwości twój zapal, do mego męstwa, twoją miłość, do moich cierpień twoją wiarę.

Byś świeżością twoich uczuć, tchnienia ożywcze wionęła mej duszy, gdy upada ze znużenia i szlakiem nadziejskich swych tęsknot wiodła mię na najwyższe szczyty natchnienia...

*

Po jego odejściu upadłam na poduszki sofy, wyczerpana uginając się pod natłokiem uczuć.

Więc to to, czego szukała dusza moja w gorączce trawiających ją tęsknot, więc to ja pod pięknem form zmysłowych piękna i pełni ducha wyglądałam, a nie mogąc go dojrzeć w ciemną mgłę przeznaczeń tęskne wyciągałam ramiona...

A oto stanął przedemną on — piękny ową nadziejską, natchnioną pięknnością, silny przewagą ducha.

W jego pokrewnej duszy jak w czystym wód zwierciadle, odbiły się moje uczucia i znalazły tam zrozumienie i współczucie a więc nie są one fantazją, czczą marą chorobliwej wyobraźni...

Wołał mię, zachęcał do wspólnej pracy, do wspólnej myśli, do wspólnych wlotów tam, gdzie biją źródła prawd przedwiecznych i mnie biedną, nieświadomą czyni jakąś posłanką hóstwa, jakąś wieszczką, która do świętych krynic tych znać i wskazać ma drogę...

Pragnie złączenia dusz naszych węzłem idealnej spójni, w celu odkrycia owych prawd i niesienia ich w ofierze innym duszom spragnionym, przecież to najpiękniejszy związek, jaki zawrzeć można na ziemi.

Lecz nagle zawahałam się, przyszły mi na myśl doświadczenia bolesne ubiegłych lat, niezabliźnione rany zawodów, gdy dusza w pełni ufności i wiary raniła się o jakąś dziwną, niezrozumiałą zaporę.

Ulekkłam się nowego zawodu dla serca gotowego czcić i wierzyć, dla tego serca, które z własnej i twojej winy cierpiało już wiele...

Chciałam pisać do Henryka i prosić go, aby wrócił, lub zabrał mnie do siebie. Aby miłością swą i pieczytami uspi wyzwalającą się z więzów ziemi duszę, by mnie upoił znikomym czarem znikomych życia rozkoszy, by ochronić mnie od nowych walk i boleści.

Wiedziałam, że idąc za głosem twoim oddalam się w jakieś odległe błękitne obszary, które pochłoną mnie zupełnie, oddzielając murem nieprzebitym od ponęty i wartości życia. Od tych wszystkich blasków mamidel i czarów, jakimi obsypała mnie hojna dłoń Henryka.

Przyzwałam na pomoc jego piękną wyniosłą postać, krucze włosy, szlachetne rysy z wyrazem owej niezmiernej dla mnie tkliwości i uczucia, jego oczy rozkochane, a pełne ufności.

Nie jest on w stanie zrozumieć pragnień mego ducha, nie odczuć jego tęsknot, lecz dał mi miłość gorącą, a wierną, dał mi pewność stałego i trwałego szczęścia, w którym usypia duch, lecz żyje serce i uczucie.

I obraz ten coraz wyraźniej rysował się w mojej pamięci, rozjaśniał się coraz żywszemi barwami wspomnień szczęśliwej mojej przeszłości.

Lecz nagle... tyś spłynęła ku mnie z cieni zalegających komnatę i postacią swą obraz ten przysłonić usiłowałaś.

I daremnie odsuwałam cię od siebie. W błyszczących zwojach szat twoich obraz ten przyćmiewał się, bladł, szarzał, aż wreszcie znikł zupełnie, a dusza moja utonęła znów w melodii twojej pieśni.

Jak płomień w lampy kryształe
Rozrzuca blasków opale,
Tak w głębi piersi zamknięta
Palisz się o iskro święta.
Duszo!...

Ja patrzę w głębie tej czary,
Gdzie blask twój skrycie migoce.

Czy święte płoną tam żary,
 Czy się zmagają tam moce.
 Czy są tam wielkie kochania,
 Błyskawicowych żądź wzloty,
 Ponadużyciowe żądania
 Nieuciszone tęsknoty.
 Do każdej piersi przykładam
 Ucho i słucham i badam.
 W uczynkach, słowach w spojrzeniu
 Szukam cię święty płomieniu
 Duszo!...

* * *

Rozpoczęła się znów nowa pieśń w poemacie mojego życia — pieśń czarowna zrodzona z różanych blasków wiosennego poranku.

W pełni rozkwitłej wiosny błądziliśmy w labiryncie olbrzymich ogrodów zamkowych, lub po szmaragdowych trawnikach łąk zbieraliśmy wiązanki polnych kwiatów.

Nieraz i w gąszczy ciemnego lasu zapędziliśmy nasze kroki, skąd wracając, wstępowaliśmy do wiejskich zagród, ciekawie to życie studyując.

Z takich wycieczek wracając, mieliśmy dusze pełne szumu drzew, śpiewu ptaków, dzwonięcia leśnego kwiecica, w które to głosy wsłuchani układaliśmy nasze pieśni.

Czasem daleko aż na gór skaliste szczyty wzniosła nas ciekawość nasza — stamtąd roztaczała się przed naszymi oczami stubarwna wstęga dalekich przedziwnej rozmaitości obrazów.

Widzieliśmy z dala miasta kamienne mury, skąd dochodziło nas wrzenie pełnego zgiełku i gorączki życia.

Tam, w to wielkie ludzkie mrowisko, posyłałiśmy na zwiady skrzydlate nasze dusze.

Leciały one pełne ciekawości i drżące żądzą poznania ponad szeregi ulic, ponad dachy kamienic, wciskając się do wnętrza wyniosłych pałaców w ubogich domków lepianki i w dusz ludzkich zakryte głąbie...

Z wycieczek owych wracały dusze nasze czasem tryumfu pełne i radości, lecz częściej smutne, pobladłe z bólu i rozczarowania, w dół opuszczając znużone skrzydła. A wtenczas pieśni nasze płynęły w błękitną dal żalonym echem bezsilnego smutku.

Wieczorami zasiadaliśmy w wielkiej zamkowej bibliotece i tam w arcydziełach ubiegłych wieków i najnowszych geniusza tworcach, badaliśmy rozwój i postęp ludzkiej myśli.

Ten okres mego życia był jakby odbłaskiem, fatą morganą onej ziemi obiecanej, ku której rwała się w tęsknocie spragniona dusza moja.

Na rozpiętych skrzydłach myśli szybowałam wysoko, widziałam wiele, rozumiałam wiele, lecz niestety, tem jaśniej przejrzałam, że nie ta droga wiedzie do źródła wszechprawdy i że to, w czym czerpią nasze dłonie, to nie źródło ów przedwieczny, lecz marna, przydrożna studzienka, że nie zdobywamy nowych prawd lecz stare zużyte formy i idee w nowe odziewamy szaty.

Ale nie chciałam jeszcze temu uwierzyć i z gorączką ostatniej ludzkiej nadziei, trzymałam się ręki Stefana, starając się wmówić w siebie wiarę i zapał, który traciłam.

I wtenczas znów ty, o wąpiących dusz towarzysko, smutna i szara, jak mgła jesienna, zaczęłaś mię nadchodzić, szeptać mi w ucho jakieś dalekie, niejasne obietnice.



Było to podczas jednej z dalekich naszych wycieczek.

Szliśmy ścieżką, pomiędzy zbożem, patrząc jak się promienie słońca ślizgają po jego złotej fali.

Nad nami płynęły wolno drobne, puszyste obłoczki, przed nami rozlegał się daleki widok na góry i rzekę u ich stóp płynącą.

Przy końcu ścieżki, na pagórku stał wielki dąb o szerokich rozłożystych konarach.

Wbiegłam na pagórek i usiadłszy pod drzewem patrzyłam jak przez ciemne gałęzie przegląda jaskrawy błękit nieba.

Stefan dziwnie dziś smutny i zamyślony stanął obok, patrząc w dal.

Nagle coś we mnie drgnęło — jakby jakaś iskra zapłonęła w mojej duszy, zapalając w niej nowe płomyki myśli i pytań.

— Już od tak dawna — rzekłam — chodzimy po wszystkich drogach i ścieżkach, wertujemy księgi, myślą szybujemy przez niezmierzone przestrzenie i to wszystko nadaremnie.

Źródło prawd wiekuistych płynie spokojnie gdzieś daleko, niedojrzane, niezbadane. Kiedy dojdziemy doń? Jaka droga tam prowadzi? Powiedz Stefanie, mistrzu, przewodniku mój...

On popatrzał na mnie zmieszany i smutny.

— Czynimy co w naszej mocy księżno — odpowiedział — wchłaniamy w nasze dusze wszystkie głosy, szepty, wszystkie drgnięcia przyrody, tej matki wszechistnienia.

Badamy świadectwa rozwoju ducha przeszłych i terażniejszych pokoleń, wsłuchujemy się w bicie własnych serc i we

własnej krwi szmery i z tych zdobyczy, jak z owych kwiatów co je zrywasz po łąkach, układamy równe, misterne wieńce, którymi świat kiedyś ustroi nasze głowy.

— A czy to było naszym celem Stefanie? wszak mówiłeś, że połączymy siły nasze, by dotarłszy do krynic wszechprawdy, promienie tam zaczerpnięte rozsiewać po biednej w ciemności zwątpień pogrążonej ziemi...

— Kiedy tam dojdziemy?

On stał naprzeciw mnie smutny, zamyślony, błękitne jego oczy leciały gdzieś daleko po nad pola i góry, aż utkwily w błękitcie horyzontu, gdzie naprzeciw nas płynął obłoczek od zachodzącego słońca różowy i złoty.

— Widzisz ten obłok księżno, widmo nieuchwytnie kształtów, fata morgana barwy, która nie istnieje.

Im głębiej wnikam myślą w tajniki wiedzy, tem bardziej przekonuję się, że taką sama złudną grą barw i blasków są wszystkie w soczewce oczu naszych odbite zjawiska. Tem jest byt nasz i niebyt, duch i ciało, nieskończoność czasu i przestrzeni i nieśmiertelność ducha i tem jest owa księga wszechistnienia w której wyryte są bytu naszego tajemnice.

A więc porzuć próżne nadzieje, bo nie dowiesz się nigdy dlaczego trawi cię wieczysta tęsknota, do jakiegoś lepszego pełniejszego życia, nie dowiesz się po co jest śmierć i jaka po niej nastąpi forma istnienia, dlaczego występki góruje nad cnotą, brutalność nad sprawiedliwością...

Dlaczego najszlachetniejsze wysiłki ducha i ramienia giną zdeptane bezwzględną przemocą podłości i samolubstwa, i dla czego duchy nasze spętane jak ptaki w klatce o ściany ciasnych form bytu, łamią swe skrzydła, by wic się na dnie klatki w bezsilnej rozpacz...

Tak kapłanko prawdy, ściągnij niebo nad ziemią, a ugasisz pragnienia milionów.

Nie mogłam znieść tego tonu bolesnej niemocy jaki jęczał w jego słowach.

— Dlaczego tak mówisz?.., wykrzyknęłam.

Bo są chwile, gdzie ogarnia mię nieskończoność nicości i słabość jeszcze bezsilniejsza niż twoja kobieto, gdzie wątpię o wszystkim i o sobie!... — odrzekł i rzucił się obok mnie na trawę, twarz ukrywając w dłoniach.

Te słowa jak miecz ostry przeszły mą duszę boleścią. On wąpi, on, mój mistrz, mój wódz, przewodnik... On, który mię wiodł, oświecał, umacniał, leży tu u moich stóp złamany bezsilnością własnego ducha!...

— Stefanie! — zawołałam z rozpaczą — to nie prawda coś powiedział, zaprzecz temu na Boga!...

— Tyś silny, tyś wielki, tyś świadomy celów swoich. Ty, któryś odrodził mą duszę do nowego życia, do światła, do wiedzy do sztuki, ty nie możesz wątpić!...

On odsłonił twarz bardzo smutną i zbolaną i rzekł głuchym bezdźwięcznym głosem.

— Niestety to prawda! — ja wątpię o wszystkim i o sobie!...

— Ty wątpisz! — krzyknęłam — więc cóż się ze mną stanie!...

Któż mię prowadzić będzie dalej, kto wspierać, nauczać!...

Nie dał żadnej odpowiedzi, oparł się tylko o drzewo ponuro patrząc przed siebie.

Więc opuścisz mię! — zawołałam — więc na błędne manowce, rzucisz duszę, którąś do życia obudził!...

— Tak to prawda, czas już, abym cię opuścił księżno, rola moja przy tobie skończona, zapaliłem w duszy twej płomień zapału i zamiłowań, idź teraz sama naprzód, gdy sił starczy!...

— A gdy zabraknie? — spytałam?

— Rzucą cię złamane skrzydła!...

— Gdzie?!...

— Będzie to zależeć od tego jaki pierwiastek w twej duszy przeważy, co bardziej ukochałaś, świat czy Boga — odrzekł z jakąś dziwną mieszaniną litości i ironji.

— Nie Stefanie — zawołałam z rozpaczą — nie jestem jeszcze dość silną, abym mogła iść sama po drogach ducha skalistych i stromych, muszę znaleźć przewodnika.

Słyszałam, że tam za górami i za rzeką mieszka uczonego Mag-astrolog, który posiada całą wielką tajemną wiedzę dawnych mędrców. Umie z gwiazd czytać proroctwa życia i na ciemnej nocy naszej niewiedzy, zakryte runów Bożych odczytywać litery.

— Mówią, że przez długie posty i ćwiczenia unicestwił ciało swoje i wyzwolił ducha do takiej potęgi, że umie wznosić się ponad przestrzeń, ponad zakreślone nam granice wiedzy i wzroku. Umie widzieć rzeczy odległe i niedościgłe i jak w rozwitym zwoju pergaminów czytać umie w zakrytej dla nas księdze tajemnic.

Mędrzec ten nazywa się Eligiusz, zaprowadź mię do niego Stefanie.

— Dobrze księżno — odrzekł — spełnię twoje życzenie. Przestrzegam cię jednak, że ten Eligiusz ma być czarownikiem wyklętym. Mówią, że praktyki jego są to zakazane sztuki czarnej magji, które spełnia on za pomocą sił nieczystych.

Ja jednak myślę, że jest to zręczny kuglarz, który dlatego osłania się tajemnicą, by nie dać ludziom wglądnać po za zasłonę, gdzie jak wszędzie nicość się kryje.

— Nie zraża mnie wcale to co mówią o nim, rzekłam przeciwnie zaciekawia. Nie wierzę zresztą niczemu, czego — jak Tomasz ran Chrystusa — nie dotknę sama.

Pójdę do tego czarownika, który umie czytać w tajemnych głębiach mowę duszy ukryta i dla nas samych niezrozumiałą, niech mi powie czem jest straszny nieuciszony ból mój i rozkosz niewysłowiona — czem jest moja tęsknota..

— Pójdziemy Blanko — rzekł Stefan — niech wielki Mag skarby mistycznych ducha tajemnic pod drobne twe składa stopki, lecz przestrzegam cię piękna kapryśnico, że może to być najkosztowniejsza ze wszystkich zachcinek twoich, możesz przyplacić ją drogo..



Cieszysz się więc o duchu ilekroć odkryjesz którą z prawdziwych tajemnic drogi bolesnej i łsumienie ci twoje zaświadczy, żeś prawdziwą myśl Boga w formach zamkniętą wyczytał. Niczem jednak jest nauka przeszłości, jeżeli przed tobą całej przyszłości nie odłoni. Tu oto leży śmierci tajemnica i zapisane jest wyraźnie prawo następnej twórczości to jest... ofiara,

W świętości bowiem twojej leży wyzwolenie. ducha i moc jego przyszła... mądrość i forma czynu wszelkiego na przyszłość.. i zwycięstwo...

Słowacki

Genezis z ducha.

Poszliśmy...

Na skalistej, niedostępnej prawie górze, wznosiło się zamczysko stare, na poły rozsypane w ruinę.

Jedyna kręta, w skale wyżłobiona ścieżka, która nad rozpadlinami wiodła ku górze, była tak chwastem i zielkiem zarosła, że chwilami traciliśmy ją z oczu i musieliśmy przedzierać się na oślep przez gąszcz jałowców i głogów.

— Widać że dawno żadna ludzka istota nie wchodziła na tę górę skalistą i niedostępną — mówił Stefan wspinając się z trudnością po stromych skałach.

— Nic to dziwnego — odrzekłam — wyżyny bywają zwykle mało uczęszczane, cieszymy się więc, że tam żadna fałszywa nuta nizin nie zakłóci podniosłej pieśni szczytów — im wyżej tem samotniej.

— I tem bliżej Boga — odparł Stefan, głosem, w którym powaga przekonania walczyła z ironją przekory.

Że też ty księżno nie zwrócisz się raczej do Niego po pociechę i ukojenie i u Niego nie szukasz wiedzy wiedz wszystkich — Łaski wiary.

— Wiara moja — odrzekłam — jest jako ta ścieżka zielkiem buntów i wirów ziemskich zarosła. Nie umiem jak ów Mag wyzwolić się z pętów życia, a w pożądaniach mego ducha tkwi jakaś materialna prawie żądza posiadania.

— Pragnę osiąść wiedzę... Chcę wiedzieć czem jest moja tęsknota...

★

Temi słowy powitałam Maga Eligjusza który przyjmował ze zdziwieniem rzadkich w jego samotni gości:

— Tęsknota! — powtórzył patrząc na mnie z nieopisanem współczuciem i słodyczą.

Był to człowiek bardzo stary, ciężar życia nie ugiął jednak barków jego. Wyniosła i dumna postawa świadczyła o niepodległości i mocy, wielkie ciemne oczy kłyły w sobie cały żar ogni młodości nieroztrwonionych, lecz skupionych i podsycanych bezustanną pracą i czujnością ducha.

Miałam uczucie, że oczy te oglądały wszystkie w głębiach ukryte tajemne sprężyny ludzkich bólów, wznoszeń i upadków i patrzą na nie z niewidzianą na obliczu człowieka miłością i miłosierdziem.

Wiedziałam, że mędrzec ten, chociaż musiał cierpieć bez miary, umie wznieść się do bezgraniczności miłości i przebaczenia.

Będąc jak posąg marmurowy skończonym i jednolitym w sobie, potrafi we wszechludzkiej swej litości stopić dobro i zło, występki i cierpienie i jednym je objąć uściskiem.

Wprowadził nas do pracowni, która mieściła w sobie laboratorium alchemika, bibliotekę i jakby muzeum obrazów, posągów starożytnych i przedmiotów kultu religijnego różnych czasów, wieków i narodów.

— Usiądź na chwilę — rzekł — w tej niczem nie zakłóconej ciszy mojej pustelni.

Zamknij oczy twe na światło życia i wpatrz się w nigdy nie gasnące słońce ducha, wsłuchaj się w mowę głębin twoich...

Patrz i słuchaj cierpliwie, a przyjdzie chwila ocknienia, chwila przypomnienia...

Wtenczas dusza sama odpowie ci na wszystkie twoje pytania i wysnuje nieskończenie długą a jednolitą przedzę przeżytych bytów twoich.

Oto ja zwiastuję tobie tę chwilę pokoju kładąc dłoń mą na twem czole, niech przez moje palce spłynie na cię Moc, Jasność i Wiedza... Niech jak mgła w blasku słońca rozplynie się ziemskie twe uczucia i pożądanja, bo promień Łaski wchodzi tylko do serc uciszonych — dalekich od wirów życia...

Głos starca przycichał i rozplynał się w jakiejś dalekiej, przedziwnie słodkiej muzyce, w której nie było melodji, tylko gra dźwięków niewymownie zgodnych.

Słysząc w niej było owe niedostępne dla ucha tony, szepty, westchnienia, owe czuciem tylko odgadywane dźwięki, które jak nieustanna modlitwa unoszą się nad światem.

— To jest pieśń przyrody... pomyślałam.

— To jest harmonja sfer... — odpowiedział mi głos jakiś oddalony.

Pieśń owa zaczęła się powoli wiązać w coraz wyraźniejsze oddzielne tony, aż wreszcie z melodji ciszy i harmonji wyłoniły się słowa:

— Patrz ponad siebie i poza siebie...

— Ponad najwyższe granice atmosfery wznosi się twój Wzrok — Pragnienie — ku Światu wiekiustemu gdzie niegdyś spoczywały zaczątki ducha twego, jak ziarno w ziemi, w cichy sen o przyszłych swych kształtach zakłęte...

— I oto rzekła budząca się dusza...

— Pragnę żyć...

— Pragnę być jaźnią oddzielną i od przedwiecznego oceanu, w którym rozlewam się nieskończenie, chcę wyzwolić się, by jako kropla odbić i pochłonąć w sobie własną Nieskończoność...

— Pragnę stać się podobną Jemu!...

Za ten pierwszy impuls samowiedzy, w którym kryją się wszystkie zarodki upadku i grzechu a zarazem motor nieskończonej, życie czyniącej walki, za ten pierwszy podszept ducha złego, któremu uległa budząca się jaźń, bezwzględnie choć nieświadomie, strąciła cię z wyżyn swoich Sprawiedliwość przedwieczna.

Jako karę kazała ci, byś oddzielona od błogości Niebytu od najniższych zaczątków, krocząc po wiekiustej drabinie narodzin i zgonów wznosiła się ku Niemu powoli w ucisku i bólu... w trawiącej, niezaspokojonej Tęsknocie...

Słowa rozplywały się powoli w melodię, a melodia w ciszy, z której wyłoniła się jak zwój barwnej tkaniny — nieskończona wstęga obrazów przeżytych moich żywotów, śmierci i narodzin...

Widziałam jak w tych etapach dusza kształtowała się powoli, brodząc przez okresy ciemności błędów i występków... przez zmaganie się pokusami, przez walki i upadki, przez błyski słoneczne szczęścia i długie nocy rozpaczny...

Coraz wyżej i wyżej...

Olśnione i zdziwione me oczy, towarzyszyły tym długim wędrówkom, przeplatany dłuższymi jeszcze etapami spoczynku w przyziemnych przestrzeniach.

Wtem usłyszałam z początku daleki, potem coraz wyraźniejszy szum skrzydeł jakby lot ogromnych ptaków.

I ujrzałam się nagle otoczona zastępami duchów oczekujących w przestrzeniach dalszych swych przeznaczeń.

One, zapełniając całą naziemską atmosferę, zlewają się z nią, jakby były same tchnieniem ziemi, rosą, powiewem wiatru, mgłą, chmurą, myślą, czuciem, pragnieniem, pokusą, żądzą, rozpaczą i rozkoszą.

Jakby tworząc oddzielnie tony wiekuistej harmonji wszechświata spajały się z nią w jednię dźwięku... pieśń życia.

Ujrzałem je jak lecą, wznoszą się, pochylają ku ziemi, — różnobarwne, uskrzydłone i cały ten wielki glob obejmują wachrem twoich skrzydeł i z nim razem lecą w dal bezkresną...

Wśród szczęku walki jednak, wśród zagłuszającej pieśni jęku i radości życia nie dochodzi nas szum ich skrzydeł.

Lecz one, niepomne na to, pochylają ku ziemi, splatają się gorącym uściskiem z walczącymi na tym padole, materją skutymi duchami i wiodą je ku górze, lub w przepastne rozpadliny występku je spychając, wolę i siłę ich ducha walką nieustanną hartują.

Ponad nimi, jak złote pasma gwiezdnych mgławic unosi się rozwiana szat twoich przeźrocza.

Zasnułaś nią cały nieskończony bezmiar między planetami i całą przestrzeń niebieskich obszarów wypełniłaś sobą...

A ja ujrawszy cię w niewidzialnym dotąd blasku i przepychu zawołałam olśniona.

— Tęsknoto moja tęsknoto !...

— Odsłoń zakryte oblicze, powiedz kim jesteś, kim jesteś !...

Ty spłynęłaś ku mnie i ujawszy jak dawniej duszę mą w swe dłonie zaczęłaś śpiewać.

Ponad globy świecące
W przestrzeń czasu lecące
Płynę wiecznie, ja światów tęsknica.
Z nimi kręgi zataczam,
W otchań ciemną się staczam
Gdzie wieczności nieznana granica.

Jam jest wir i ciężenie,
Jam atomów krążenie,
Jam jest siła co spaja i łączy,
Jam jest kroplą przelaną
Z miłości oceanu,
Co powoli w nurt czasu się sączy.

Nie znam swoich początków,
Ni tajemnicy wątków,
Które wola przedwieczna mgłą kryje.
Bo w nieznanne jest plany
Zakon boży spisany,
Nie przeczyta go oko niczyje.

Motorem jestem ruchu,
Co na pragnień podmuchu
Duchy globów porywa ku górze.
Przez podszepty nęcące,
Obietnice kuszące
W pełne przygód je wabię podróże.

Jestem ducha probierzem,
Coraz twardszym puklerzem
Jaźń twą hartem bolu zakuwam.
W bolu ziemskość twą stapiam
I w anielskość przetapiam
I cielesne kajdany rozkuwam.

Jestem Boga pragnieniem
I proroków natchnieniem
Twórcą świętych misterjów i mitów.
I moralnym nakazem,
Mglistym szczęścia obrazem
Zapomnianych w wieczności prabytów.

Duchy mgławce i ciemne
Co nad kręgi przyziemne
Sił nie mają ciężącej wnieść duszy
Tym zakryte me lica
I mej pieśni tęsknica
Czarem ich, ani bolem nie wzruszy.

Lecz przez dalsze istnienia,
Kiedy ogień cierpienia
Z cieniów mgły ich wywiedzie w jaśń świtów
Wszak oderwą od ziemi
I oczami tęskniami
Będą szukać górnieszych wciąż szczytów.

Gdy na końcu podróży
Duch się lotem nie nuży,
Coraz szersze zakreśla wciąż koła,
Wtenczas poprzez mgławice,
Poprzez słońca, księżycy,
W nieskończoność je pieśń moja woła.

Wysłuchawszy twej pieśni, upadłam w proch przed tobą,
o duszo światów Tęsknoto!...

Odczytałam runy złote, rylcem wiekuistej pracy twojej wykowane wskroś wieków i ducha mego nieugaszonych żarów tajemne przejrzałam przyczyny.

Oczy me widzące wytyęczałam w przestrzeń nieskończoności, która stała się dla mnie rozwartą księgą, czytelnymi pisaną głoskami,

I patrzałam na wiekowe trudy twoje, idąc śladami twymi, przez niezmierzone okresy kształtowania się mgławic i globów Bożych urodzin życia i zgonów.

Widziałem jak bierzesz na skrzydła twoje ciemne, nowo zrodzone, w cichym śnie o ducha poczęciu pogrążone światy i budzisz je ze snów wiekowych płomiennej swej pieśni fanfara.

I czynne, zbudzone już ziemie tulisz do łona swego, przyspieszając pęd krążenia i siłę obrotów. I jasne, błogosławione globy po brylantowych drogi ich elipsach prowadzisz oczu swoich żarzącymi słońcami w coraz świętsze i Bogu bliższe kręgi...

★

Otworzyłam oczu...

Ujrzałam pochyloną nad sobą jasną, litościwą twarz mędrca i Stefan chwiejnym krokiem jakby również ze snu zbudzony przystąpił do mnie.

— Chodźmy już księżno — rzekł — słońce zniża się ku górom, w ciemności nocy nie odnajdziemy powrotnej drogi.

Wstałam i pożegnawszy starca szłam za Stefanem jak lunatyczka, na pół jeszcze w śnie moim o nieskończoności pogrążona.

— Spieszmy się księżno — mówił Stefan — popatrz tam na dół, jaka bezdeń niezmierna dzieli nas od świata i ludzi. Patrz jak oni, jak mrówki ciemne i marne kłębią się, wiją w jakiejś bezdusznej walce, która jest atomem chwili wobec wieczności.

Gdy patrzę z naszych wyżyn w te niziny, ogarnia mię zawrót głowy i trwoga straszna, że nigdy już nie wrócę tam na dół życia, do jego małych nędz i mniejszych jeszcze rozkoszy.

— Dla czego tak mówisz Stefanie, czy ty także spojrzawszy w oczy nieskończoności.

— Tak — odparł — chodziłem również jak ty po jej drogach i trwoga mię ogarnia, że nie znajdziemy stąd powrotnej na ziemię drogi. Spieszmy się więc i unikajmy ścieżek nad przepaściami.

— A więc Mag Eligjusz i tobie odsonił swej mistycznej wiedzy tajemnice.

— Tak księżno — odrzekł — to jest wielki czarownik, on posiadał klucz do poznania prawd rządzących wszechświatem — on, czyta w Księdze Wszechstnienia.

— Stefanie — rzekłam patrząc na daleki krajobraz zarysowujący się przed naszymi stopami. Przepaść jaka dzieli nas w tej chwili od ziemi jest ową przepaścią, która otwiera się między każdym marzeniem, a jego urzeczywistnieniem, między pragnieniem a czynem, między poczęciem a bolesną pracą stawania, między nienasyconą żądzą ducha a niemocą ciała.

Spieszmy więc tam na dół i nieśmy zatlone lampki „wiedzy“ wszakże to było oddawna celem naszych pragnień i poszukiwań.

— Słusznie mówisz Blanko, lecz teraz gdy przejrzał, zdaje mi się, że lepiej jest tym, którzy mają oczy a nie widzą, którzy mają uszy a nie słyszą, których dusze jak rośliny wrosłe w ziemię, z niej tylko czerpią swe soki. Takie podniebne podróże jak nasza to niebezpieczna i karkołomna igraszka, budzi ona nienasyconą żądzę wielkości, która jak na codzień noszona królewska korona cięży i rani skronie.

W domu czekała mię niespodzianka...

W czasie naszej nieobecności małżonek mój powrócił do zamku. Witalam go serdecznie, lecz czułam, że nurt życia i czasu przerywa i rozwiązuje wątle węzły, jakie wiąże ślub ciał, gdy dusze ślubów wieczystych nie zawarły.

Czas naszej rozłąki wykopał między nami przepaść niezgłębioną, nad którą z jednej strony stała „chwila“ ze wszystkimi swemi małemi złudami i ponętami z drugiej...

Nieskończoność...

Tailam to jednak przed Henrykiem nie chcąc ranić tej duszy, jak dusza dziecka walk i wzmagań wewnętrznych nieświadomą.

Wróciłam do dawnego trybu życia na zamku, lecz ty o ruchu wiecznego sprawczyni, nie dałaś mi zaznać spokoju i cieszyć się błogosławieństwem „chwili“.

Wszystkie myśli i pragnienia moje leciały do dalekiej pustelni na górze, gdzie wielki Mag odślaniał mi tajemnice nieśmiertelności.

Gdy tylko mogłam znaleźć wolną chwilę, wymykałam się tajemnie z domu i nie bacząc na złą porę, upał lub stotę, puszczałam się w daleką, niebezpieczną drogę

Nie dało się to jednak długo ukryć przed Henrykiem, do-wiedziawszy się zgromił mię surowo, że zapomniałam o godności księżęcej wdając się z pogardzonym przez wszystkich czarownikiem.

Zabronił mi dalszych do pustelni wycieczek.

Wtenczas niepomna przeżytego już raz zawodu, upadłam mu do kolan i znów wyznałam bolesną i rozkoszną zarazem niewolę w jaką zaprzedałam tobie moją duszę.

I błagałam Henryka, aby chcąc iść ze mną ręką w rękę wskroś życia, wszedł na moje wyżyny, poznał nieskończoność i potęgę ducha i postannictwo jego we wznoszeniu nieustannem siebie i drugich.

On jednak odepchnął mię, nazywając czarownicą.

Później obdarzywszy miłością swą jedną z dam dworskich, odsunął mię zupełnie od siebie.

* * *

Zostałam sama...

Wszyscy przyjaciele sąsiedzi i znajomi, którzy mi przedtem schlebiali, opuścili mię, gdym popadła w niełaskę księcia.

Opuścił mię i Stefan. —

Zostałam sama...

Nad głową moją szumiała pustka i beznadziejność długiego życia bez celu i krasy!

Nie będąc już strzeżoną przez męża udałam się znów do pustelni Eligiusza i przypadłszy do stóp mędrca wyznałam mój smutek i opuszczenie.

— Przynoszę ci mistrzu — rzekłam — znów tysiące pytań i zagadek do rozwiązania bo choć rozumiem wiele.

Niewiem dlaczego, pragnąc prawdy, cierpię niesprawiedliwość, pragnąc dobra, pojona jestem nienawiścią, dając miłość, odbieram samotność i wzgardę.

On nic nie odrzekł, tylko ująwszy moją rękę, powiódł mię przez szereg komnat, przez wąskie długie korytarze, przez strome nieskończenie w górę wijące się schody.

Wciąż wyżej i wyżej.

Na samym szczycie jakieś niebotycznej wieży, stanęliśmy na wielkiej terasie.

Spojrzałam w okolo, ogarnęły mię nieskończone obszary międyzgwiezdnych przestrzeni.

Do tej ogromnej nad ziemią wyniosłości i oddali, nie dochodziło żadne echo życia, w nieprzeniknionej ciszy słyhać było tylko szelest toczących się po swych elipsach światów.

Patrzałam długo, — nagle ty zstąpiłaś w blasku swem i potędze, a ująwszy w dłonie twe duszę mą, jak matka swe dziecię uśpione, zaczęłaś śpiewać.

Duchy wybrane
I spracowane
Mnogich żywotów wlokące trud,
Idą jak smutne
Mniszki pokutne,
W bożych objawień wpatrzone cud.

Patrzą w przestrzenie,
 Gdzie gwiazd krążenie
 I mgławic świetlnych odwieczny ruch,
 Walka żywiołów,
 Praca aniołów,
 Gdy formy bytu wykuwa duch.

Atomy krążą.
 W kryształ się wiążą,
 Gdy rosną w nowy, młodzieńczy świat
 A ducha siła
 Co go spoila,
 Rośnie z nim razem w przepiękny kwiat.

Nie widzi pleśni
 Grobowych cieśni
 Kto miarą ducha rozmierza wiek,
 Lecz sił ogromy,
 Wieczności złomy,
 Na których pyłem drobnouchnym człek.

On wśród marności
 Tylko w miłości
 Jedynie wielką spostrzega moc,
 Co nad przestrzenie
 Mroków i cienie
 Płynąc, rozprasza ciemności noc.

Rzuc niepokoje
 I serce twoje
 W służby miłości zaprzęgnij pług!
 Niech skibę orze
 Pod ziarno Boże,
 Życiu przedwieczny odpłaca dług

Idź przez rozłogi,
 Cierniowe drogi
 Tam gdzie pokusy czatuje wąż.
 Podnoś upadłe
 I krzep pobladłe
 Od głodu dusze, siej miłość wciąż!

Gdzie wieczne cienie,
 Smutek, cierpienie,
 Gdzie słońca nigdy nie dojdzie brzask,
 Ty nieś pociechy
 Jasne uśmiechy
 Miłości twojej słoneczny blask!

Pojona wzdargą
 I dołą twardą
 Za ból miłości zapłatą płąć.
 I idź ochotna
 I idź samotna
 Miłości ziarno po świecie siać!

Umilkła twoja pieśń... a ja patrzyłam ciągle w otaczającą mnie nieskończoność i wyciągałam ku niej dłonie me, które w ciemności nocy zdawały się w dal bezkresną długie wysyłać promienie.

W duszy mej rodziły się nieznane dotąd błaski i żary i bezdenne jakieś, jak jezioro w ciszę zakłętę.. Zrozumienie.

Widziałam już przed sobą drogę mą daleką samotną, bolesną — palącym się w głębiach duszy ogniem rozświetloną..

I ogarnęła mię jak zwykle pod siłą twoich rozkazów, moc wielka i przymus jakiś nieprzewyciężony... lecz i małoduszna ludzka trwoga.

Odwrociłam oczy, koło mnie stał Mag Eligiusz w moją twarz swym dobrym, litośnym wpatrzony wzrokiem.

— Ach mistrzu — rzekłam — zaprowadziłeś mię na wieżę tak wysoką! bliżej od niej do gwiazd niż na ziemię.

Pozwól mi zostać już tu przy tobie i w ciszy twojej pustelni ukoić rany mej duszy.

Będę służyła tobie za chleba czarnego kawałek, byle mi wolno było jasnymi nocami wczytywać się w gwiazd Bożych błyszczące litery i z moją Tęsknotą długie prowadzić rozmowy.

Wzrok twój posiada władzę wyprowadzania z najgłębszych ciemni światła tajemnych ducha, które dają mi moc i rozkosz Widzenia.

Tam w wichrze i walce życia zgasną światła przez siebie zatłone, a dusza utraci całe piękno i dostojność tu zdobytą.

Stanie się ona znów mglistą i szarą jak te przyziemne opary.

Cierpiałam już dysyć, niech mi wolno będzie w ciszy i samotności tych wyżyn dokonać żywota.

Z wieży tej nie widzę już żadnej na ziemi drogi..

On jednak nie dał się ubłagać.

— Nie lękaj się córko — rzekł. — Wieża to stara jak ducha na tym globie poczęcie.

Na strome jej schody wejść muszą w ciągu swych żywotów wszystkie ludzkie dusze.

Tylko dla jednych jest ona Wiedzą, która przez Wiarę do Miłości toruje sobie drogę, a dla drugich Wiarą, która przez Wiedzę na Miłości prowadzi wyżyny.

Są tacy... ci najwięksi, co bez Wiedzy, po Łaski promieniu, jak po złotym moście tu się wznoszą, lecz każdy musi stąd wrócić na ziemię, by spełnić ofiarę żywota.

* * *

Wróciłam...

Opuściłam księżęcy pałac i zamieszkałam w starym zamku moim.

Rozkaz twój jak słup ognia szedł przedemną, torując mi przez życie nową, żmudną i bolesną drogę.

Szłam w płomień mojej duszy wpatrzona, posłuszna twoim rozkazom, od domu do domu od chaty do chaty.

Szukałam smutnych, chorych, strapionych, by pochyłona nad ranami ich ciał i dusz boleścią, według sił ludzkich nieść pomoc i pociechę.

Pomna na bole przeżyte i samotność mego serca, brałam wszystkie zranione serca w me dłonie, z miłością je pieszcząc i tuląc...

*

Tak trwało dosyć długo...

Jedyną w tym czasie ulgą i odpocznieniem były mi moje do pustelni Eligiusza wycieczki i długie z dobrym mistrzem rozmowy.

I w krótkce jednak przez zawiść ludzką, lub może z dopuszczenia Bożego, ci, których najwięcej kochałam, zaczęli stronić odemnie.

Jakiś pomruk złowrogi witał mię na progu domów, w które wchodziłam.

Jedna życzliwa dusza przestrzegła mię, że ludzie nie chętnie patrzą na moje odwiedziny u czarownika.

— O ludzie ciemni! — rzekłam — toż to przez jego dłonie błogosławieństwo mojej miłości na was spływa, jestem tylko wykonawczynią jego nauki.

Nie dali się przekonać i raz gdym szła do pustelni zastąpił mi drogę tłum ludzi miotając przekleństwa, rzucając kamieniami.

Czarownicą mię nazywali!...

Nie dałam się zatrzymać, zniknęłam im z oczu w gąszczu leszczyzny, przez którą ja jedna umiałam się przedzierać.

Czując się i przez nich opuszczoną, tem spieszniej zdążałam w górę do mędrca, który już tylko jedyną był mi na świecie przystanią.

Byłam pewną, że u niego znajdę przytułek i obronę, że nie wypędzi mnie od siebie, gdy niema już miejsca na ziemi gdziebym mogła bezpiecznie złożyć skołataną głowę.

Ta myśl dodawała mi sił i otuchy, wspinałam się spieszenie po stromych skałach i wreszcie upadająca ze znużenia, dopadłam bram starego zamczyska.

Powitała mnie tu głucha pustka i trwoga...

Nikt nie wyszedł na me spotkanie, nikt nie powitał mnie u progu!...

Tknięta straszmem przecuciem rzuciłam się ku drzwiom... w środku wielkiej komnaty na ubogim tapczanie leżały martwe zwłoki starca.

Zabiła go ręka zbrodnicza!...

W strasznym bólu, który zerwał ostatnią nić wiążącą mnie z życiem, upadłam na martwe jego zwłoki i zostałam przy nich tak długo, aż je wierni słudzy nie złożyli do wiecznego spoczynku.

Oddawszy ziemi ciało dobrego mistrza wracałam do domu w niemej pograżona rozpacz.

U stóp góry czekał na mnie jednak ciągle nienawistny tłum, grożąc zemstą i śmiercią.

Spojrzałam w oblicze tych ludzi i poznałam z boleścią najmiłsze mi twarze tych, których cierpienia kołam z największą miłością.

Oszalała z bólu uciekałam przed gradem kamieni, lecz powoli, o ile ciało bardziej pod razami cierpiało, dusza rozjaśniała się Przebaczeniem.

Czułam, że wzmaga się jeszcze miłość moja dla tych ciemnych, maluczkich, zbłąkanych i pragnienie leczenia ich ran, bo kto spojrział w oczy Nieskończoności, u tego Miłość i Zrozumienie jest bez granic, tak jak i ona.

Ogarnęło mnie takie ogromne zmęczenie i pragnienie spoczynku, że dusza pod tymi razami zaczęła wołać o śmierć ciała, lecz słabość ludzka i zmysł samo-zachowawczy gonił mnie naprzód, ciągle naprzód.

Zaczęłam piąć się znów w góry, po których, jak gazela umiałam umykać.

★

Nagle ujrzałam przed sobą na wysokiej skale bielejące mury.

To twierdza — pomyślałam — a może zamek. Otucha wstąpiła w moje serce, pójdę tam, zapukam do bramy, może dadzą schronienie prześladowanej.

Wstępowałam z trudnością na nagą skalistą opokę, lecz w krótkce ze zdziwieniem spostrzegłam, że dziki tłum prześladowających mnie zatrzymał się. Ucichły groźne hałasy, rozpasana zemsta tłuszcza zaczęła schodzić ku dołowi.

Zwolniłam kroku, byłam sama...

Słońce chylące się za góry, z poza gęstych obłoków wej-
rzało nagle i rozświeciło białe mury zamku.

Na szczycie wysokiej kopuły zabłysnął krzyż.

Był to kościół!...

Święty kościół Boży na wysokiej skale!...

Wstępowałam po stromych schodach!...

To nie twierdza ani zamek, — mówiłam sobie — to ko-
ściół Chrystusowy na opoce Piotrowej zbudowany.

Stoi tu wysoko, ponad zgiełk i zamieszanie świata, silny,
niezlomny, niezwalczony.

Mimo burz, co weń biją, mimo klótni i rozterek zewnę-
trznych i wewnętrznych, mimo nieprzyjaciół widzialnych i nie-
widzialnych.

Trwa i trwać będzie na wieki, bo w nim, jak ziarno w
●rzechu zamknięte jest niespożyte, a wiekuiste słowo Chrystu-
sowe.

Stałam u wrót jego, nieśmiejąc wejść...

Czarownicą jestem, pomyślałam z pokorą i uklęknęłam na
schodach u bramy.

W tym akcie pokory stopiły się wszystkie moje uczucia
chyląc mię, uginając przed Bożym majestatem. Pochyliłam głó-
wę ku progom kamiennym, na których głębokie ślady stóp wier-
nych, wyłobily wieki trwania tej niespożytej budowy.

— Nie godna jestem wejść w próg domu Twego Panie!
— mówiłam chyląc czoło.

— Nie godna jestem, która porzuciłam przykazań twoich
gościńce i zamiast iść drogą ufności i wiary w świętą ewan-
gelję Twoją szukałam manowców wiedzy i jak Tomasz ran
Twoich dotknąć zapragnęłam!

— Przebacz mi, o Chryste!

— Przebacz mi, że zamiast stać prosto u krzyża Twego
oparcia, dałam się, jak powoju wiotkiego wieńce unosić wichrem
tęsknoty, która owijała moją duszę o wszystkie ponety życia.

Teraz, gdy ból mój i cud Twojej łaski zawiódł mię do
progów domu Twego, widzę, że to Ty o Panie wiodłeś mię ku
Sobie przez życia rozdroża i że ja błędząc, Ciebie tylko szukałam
o Chryste!

Gdym wymówiła te słowa drzwi kościoła zaczęły się same
powoli rozchyłać.

Kłęczałam ciągle u progu patrząc w głąb nawy.

Na wielkim oltarzu, a może w przestrzeni między nim a
bramą ujrzałam precudny obraz.

W białej szacie, jak lilja biała stał Chrystus i nad baran-
kiem w cierń oplątany pochylał oblicze swe miłosierdzia i Bos-
kiej swej miłości pełne.

Patrzałam długo na ten obraz tak znany, a tak dla mnie nowy i nagle zrozumiałam, że krzakiem tym cierniowym Ty jesteś o Tęsknoto i że z pęt jego nie wyzwoli mnie nikt tylko On... Dobry Pasterz.

I do duszy mej wstąpiła radość wielka, owo szczęście, jakie ogarnia znalazcę skarbu szukanego życie całe w męce i znoju.

I zaczęłam iść myślą śladami Jego, przez lata nauczycielstwa i miłosierdzia, przez cuda miłości i przebaczenia, przez ogród mistyczny cnót tych Bożych, niedostępnych dla człowieka.

— Cały glob ten ziemski zmierzyłeś Boską Twą stopą sięjąc ziarno Twoje, lecz tłoczona się ciżbą ludzka zdeptała ziarna, zatarła Twoje ślady! — wołałam z płaczem.

I na myśl tę wzbudziła się we mnie niezmierna, niewysłowiona miłość, która stopiła w sobie jak w ognisku wszystkie moje dotychczasowe miłości i zaczęła domagać się czegoś, jakiegoś daru, czynu, ofiary...

— Wskaż mi wolę Twoją o Panie, powiedz gdzie iść mam i co czynić w Imię Twoje.

Gdy rozkażesz, wyrzeknę się wszystkiego dla twej miłości i uśmiechów życia i pychy świata i zwodnej jego mądrości plon zebrany złożę na ofiarnym ołtarzu pokory.

I upadłam na twarz korząc się w modlitwie gorącej.

Modliłam się długo..

W czasie mojej modlitwy ostatnie blaski słońca skryły się za górami i powoli zaczęła spływać noc jasna, brylantami gwiazd zasiana.

Noc owa, cieniem czarnych swych skrzydeł skryła kościół, zasłaniając przed moim wzrokiem obraz Dobrego Pasterza.

Podniosłam się, zesłam ze schodów i chcąc popatrzeć w oblicze tych dalekich światów świecących, stanęłam u kamiennej balustrady okalającej kościół.

Spojrawszy przed siebie i ponad siebie i poznałam zdziwiona, że góra, na której się znachodziłam, jest Eligjuszową wieżą Miłości...

I wtenczas zrozumiałam, że prawdziwa wiedza i prawdziwa wiara są jako dwie ścieżki na jedną i tę samą prowadzące wyżynę.

I ogarnęły mię w okół nieskończone obszary międzygwiazdnych przestrzeni, gdzie nie dochodziło już żadne echo życia i tylko w nieprzeniknionej ciszy słyhać było szelest toczących się po swych elipsach światów.

Widziałam jak przelatywały nad moją głową globy ogromne, świecące, błogie jakieś i radosne, jakby na nich spoczęła już błogosławiąca ręka Boża.

Spojrzałam na ziemię...

Spała ona u stóp mych w ciszę utulona, w obec ogromu tych światów mała i ciemna.

W męce i bólu wiekowym z duchem ciemności się zmagająca, jak dziecię po płaczu uśpiona, jak dziecię do snów swych o jutrze uśmiechnięta.

*

I znów gorące fale miłości zaczęły ogarniać moje serce i znów ty spłynęłaś ku mnie dostojna i ogromna, jak nieskończoność wszechświata, który ogarniasz sobą.

A objąwszy duszę mą swym uściskiem, całego życia mego tęsknotę, zaniósłś do tronu Boga — w jednej, całą bolesną ziemię tę obejmującej modlitwie i jęku...

Przyjdź Królestwo Twoje!!



Wróć się.

Tego się strzeż w swej drodze,
By serce twoje nie rzucało cienia
Żądz swoich, swego drżenia,
Przy twojej nodze;
A pilnuj, abyś w świetle prowadził swe
wodze. M. Konopnicka.

Wszelakie szczyty miały dla niej zawsze urok nieprzeparty...

Dziecięciem jeszcze będąc, do śniegiem błyszczących wierzchołków gór rodzinnych wyciągała drobne rączyny, mającąc, że widzi tam pałace zaczarowane o ścianach z kryształu, o szbach z drogich kamieni.

Gdy podrosła na dziewczkę, największą jej rozkoszą było piąć się na szczyty śladami antylop i u stóp lodowców zbierać bukiety szarotek...

Ale nie zadowolila jej żadna z tych wycieczek, każdy osiągnięty szczyt górski był jej za niski, każda najniebezpieczniejsza droga za łatwą.

Pokazywała zawsze najwyższą, niedostępną górę, ostrą iglicą sterczącą w niebo.

Widzicie, tam błyszczą ściany zamku z błękitnego kryształu, tam dotrzeć muszę, choćbym miała skonać na lodowych jego schodach!

Ludzie, patrząc na tę dziwną dziewczynę, z politowaniem wrzuszali ramionami.

Fantastka — mówili.

A inni dodawali:

Zmarnuje się w tych podróżach, a szkoda jej, taka piękna...

Ale Stella nie słuchała tych przestróg i nie przestawała wspinać się ku szczytom, które były jedynem jej duszy upragnieniem, i występować coraz wyżej i wyżej...

Dnia jednego poczuła w sobie niezwykłą moc i jasność.

Odkryła ścieżki, których dotąd nie знаła, uczuła się dość silną do pokonania trudności podróży.

I dotarła do stóp owej góry, która gotycką swą iglicą zawsze wabiła jej łaknącą wyżyn duszę.

I zaczęła wspinać się w górę, pełna sił i zapału.

Z początku ścieżka była udeptana, szeroka, potem węższa i stroma, a wreszcie zniknęła bez śladu i droga stała się bardzo uciążliwą, pełną przeszkód i trudności.

Tu strumyk rwący a głęboki, tam złomy skał poszarpanych, tu ścieżyna wąska a oślizła nad bezdenną, śmiercią ziejącą przepaścią...

To jednak nie zraziło śmiałej podróżniczki, elastyczna a silna, przesadzała strumienie, odwalala głazy i bez trwogi przebiegała wąskie nad przepaścią ścieżyny.

A nad nią mglisto rysujące się kontury zamku coraz realniejszej zaczęły nabierać plastyczności, błękitne kryształły promieniały w słońcu, a kolorowe szyby kładły tęczne refleksy na skalisty szczyt góry.

Ujrawszy to, uczuła radosne serca bicie i już wyciągnęła ramiona ku upragnionemu celowi swoich marzeń — gdy ujrzała z przestraczem, że tu wszystkie ścieżki nikną, a upragniony wierzchołek sterczy w górę nagą, pionową ścianą...

Zaczęła krążyć dookoła, głośno płacząc.

Wreszcie, wyczerpana trudem i bolesnym zawodem, smutna, zaczęła zwolna schodzić ku dolinom.

Wtem przed oczami jej załśniły białe ściany chatki, jak gniazdo jaskółcze, do skał przylepionej.

Zapukała...

Na spotkanie jej wyszedł staruszek.

Srebrna broda spadała mu na piersi, u pasa zwisał różaniec, błękitne oczy patrzyły na nią badawczo, lecz łagodnie.

Kto jesteś i po co tu przyszedłeś? — zapytał.

Jam dziecię dolin, a przyszedłem tu, aby się wspiąć na szczyt błękitny...

Starzec spojrział na nią zdziwiony.

Na szczyty pragniesz... za wcześniej ci jeszcze dziecię, lecz pięknie, że dotrzeć tam usiłujesz.

A jakie tam prowadzą drogi?...

O drogi pytasz, pójdź ze mną, a chętnie ci je wskażę.

Widzisz ten strumień, ze skał płynący, obmyj w nim z liców twoich kurz ziemi.

A teraz chodź...

Patrz, te drobne schodki w skale, to są stopnie, po których jedynie na szczyt dostać się można, lecz trzeba je własną wykuć dłońią.

Ujął znowu jej rękę i powiodł ją do chaty, tu wskazał urnę kryształową, w której palił się płomień jasny, błękitny.

Iskrę tego płomienia umieścić w małej lampce i podać dziewczynie.

Weź tę lampkę i idź na dół — do domu twego, do pracy twojej, do obowiązków twoich.

Wzmagaj się w sily, hartuj ręce pracą, a ducha walką zwycięską i po promieniu tej lampki idź wiernie a nieustraszenie i innych pociągaj tą drogą.

A, gdy utracisz płomień niebieski, przyjdź tu zapalić go znowu...

A potem nad kornie schyloną jej głową wzniosł ręce swe, białością promienne, i wymawiać zaczął słowa, które, siłą mistycznego swego czaru, wsiąkały w całą jej istotę.

Kultowi szczytów ofiarowałaś dziś swoje życie, a ja, kapłan tego kultu, błogosławię cię na tę drogę trudną, ofiarną i chwalebna.

Pomnażam w tobie stokrotnie ogień miłości i pragnienie ofiary.

Idź i służ Panu, służeniem bliźnim twoim, a dotrzesz do szczytu szczytów.

I powróciła śmiała podróżniczka.

Powróciła silna i szczęśliwa, powrotną drogę miała lekką i wesołą, bo błogosławieństwo starca nappełniło jej duszę zapałem do walki zwycięskiej, do życia ofiary, do pracy ciężkiej a owocnej...

Kilka lat minęło od owego zdarzenia.

Stella szła ciągle naprzód, silna i zwycięska, a każdy większy wysiłek woli, każda walka stoczona wykuwała jeden stopień więcej w granitowej skale.

Były chwile utrapień ciężkich, doświadczeń i pokus tak silnych, że w walce z nimi mdlały wątle kobiece ramiona i wśród nadmiernych upałów życiowych nieraz wysychała do dna treść mistycznej lampki, a dzielna szermierka przez głązy i ciernie przedzierać się po nią musiała...

Im więcej schodów przybывało w granicie, tem piękniejszą lica jej jaśniały uroda, bił od niej jakiś blask przedziwny i pociągał ku niej serca. Z podziwem i miłością patrzali na nią młodzieńcy, a wielu z nich życie z nią podzielić pragnęło.

Co mam począć, gdy miłości nie znam? — pytała Stella mistrza swego.

Miłość, o jakiej myślisz, to czcza zabawka, to paśowa wstążka, w warkocz w niedzielę wpleciona, to kwiat, przypięty do gorsetu, to miodu plaster do czarnego chleba żywota i bez niej w granicie zasług schody wykuwać można, ciężiej wprawdzie, lecz doskonalsze...

I znów powróciła Stella z lampką świecącą a duszą, pełną jasności i dobrych postanowień.

I wybrała z pomiędzy wielu, a wybrała tego, który z nią na wyżyny wspinać się pragnął i najwięcej podatnym się zdawał szlachetnym jej wpływom.

Znowu popłynęły lata...

I nadszedł czas, kiedy, dzielna niegdyś kobieta, bezsilna i wyczerpana przybiegała do mistrza swojego i, do kolan starca upadając, łzami oblewała jego stopy.

Skarżyła się wówczas na bezsilność swoich ramion, swego ducha, niemoc i wątpliwość mistycznego swej lampki płomienia...

Przyszedł na ciebie czas prób wielkich a skutecznych, patrz, góra wysoka, a szczyt bardzo daleko, błogostaw próby, zwycięstwo przetrwane, i wykuwaj dalej schody twe w granicie.

Podawał jej znów palącą się lampę, a ona, smutna, lecz wzmocniona powracała do domu, ale już nie tak pospiesznie, jak za dziewczęcych lat swoich, i nie z taką, jak dawniej, wiarą i zapałem podejmowała ciężkie brzemię swego losu.

Jednego dnia, gdy po skwarnem południu zwiastuny burzy na niebie ukazywać się zaczęły, starzec, ukryty w swej pustelni, pocichu odmawiał pacierze.

Wtem drzwi się rozwarły i na progu chaty stanęła Stella, tak zmieniona, że wyrazem lic swoich, przestraszyła świętego starca...

Czarny włos, rozwiąany i splełany, spadał na ramiona, oczy paliły się gorączkowym blaskiem, a purpurowe usta drgały wstrzymywanym łkaniem...

Stanęła na progu, jakby nie śmiąc wejść do izby i mętym wzrokiem patrzyła na blaski świętego płomienia...

Pójdź bliżej, córko moja, tu, u stóp świętego ognia rzucić ciężar życia, tam u źródła zmyj z lic twoich kurz ziemi i chodź, pokażę ci nowe twoich zwycięstw stopnie.

Stella słuchała, lecz nie poruszała się z miejsca, błędnie patrzyła w płomień, a potem całym ciężarem smukłego swego ciała osunęła się na ziemię...

Zwaliło cię brzemię życia — pójdź za mną, ja znów ożywiającym płomieniem łaski napełnię lampę twojej duszy.

I pochylił się nad leżącą i, jak niegdyś, w pierwszej wiośnie jej życia, całą litość swej duszy, stopił w łagodnym swem spojrzeniu...

Podniosła się, wyprostowała, ponuro spojrzała w około i, ukrywając twarz w dłoniach, gorzko zaczęła płakać.

Lampa moja dawno już wygasła, a dusza z trudu wyschła i czerniała, nie trzeba mi już ognia świętego, bo nie mam siły za światłem: jego iść, ni strzedz jego płomienia. Do życia wró-

cić nie pragnę, bo pokaleczone me dłonie bezsilne są, i, miast budować, zburzyć gotowe krwawy trud mego żywota...

Nie rozpaczaj, niewiasto... Patrz, błękitne mury zamku nad tobą jaśnieją, a nie mara to żadna, lecz rzeczywistość.

Ale jej oczy ciągle z owem błędnem odrętwieniem patrzyły przed siebie i nie pojawił się w nich ani jeden płomyczek dawnego zapału.

Wreszcie, jak jęczące deszczu kropelki, zaczęły powoli płynąć z jej ust bolesne słowa.

Ach, ojcze! czy zapomniałeś, jak ufną miałam duszę, jaką miłość dobrą, gorącą i wiarę w moc wyższej nademną opieki.

W poranku życia przyjął lampę twoją, a ona jaskrawym blaskiem swoim zaćmiła mi światło słońca ziemskiego i wzrok inój oślepiła na wszystko piękno życia, które przecież dla naszych oczu jest stworzone.

I szłam po promieniu tego światła drogą trudną i znojną, kalecząc dłonie i stopy, bojąc się w bok obrócić spojrzenie, aby nie zbłądzić z obranej drogi.

Aż oto dzisiaj, w samym dni moich kwiecie, stoję przed tobą bezsilna i złamana i, jak żebrak, odarta ze wszystkich złudzeń i pragnień moich.

Siejąc ziarno, zebrałam chwasty, siejąc dobro, zebrałam nienawiść, oddając własne szczęście na całopalenie, otrzymałam ból niewdzięczności i rozczarowania.

Starzec nic nie odrzekł, tylko, ujmując pałającą dłoń płaczącej kobiety, powiódł ją do stóp świętej góry.

Po nawalnym deszczu łuk tęczy rozpostarł się po niebiosach i ramą barwnego półkoła otoczył promieniejące w słońcu mury błękitnego zamku.

U stóp góry widniało kilkadziesiąt małych granitowych schodków, owoc zrzeczenia się i krwawej, znojskiej pracy...

Stella uklękła na swoich schodach i, tuląc do nich gorące usta, mówiła:

To jedyne, co posiadam, całe bogactwo, jakie zdobyłam za cenę młodości mojej, w dalszej walce, do której sił już nie czuję, i to gotowam utracić. Pozwól mi ojcze tu pozostać, tu się ukoić, spocząć, uciszyć duszę, choćbym miała zrzec się błękitnych szczytów i nic więcej nie osiągnąć prócz wiecznego snu bez przebudzenia!

Na te słowa oburzył się starzec święty.

Milcz, niewiasto! — zawołał — nie bluźnij, nie masz po śmierci snu wiecznego, lecz chwała, kara, lub potępienie.

I położył na jej głowie swe błogosławione dłonie i, jak czary jakie, lub zaklęcia, wymawiać zaczął słowa:

Od najwcześniejszego twego wieku wybrał cię Pan za narzędzie swej chwały, opromieniając twą duszę wszelkiego piękna jasnością.

Błogosławionaś ty, która jesteś wybraną i cierpisz prześladowanie dla prawdy, jaka jest w tobie.

Zapał wygasła lampę swoją i wracaj do życia. Idź na bój, córko, ufaj, kochaj i wierz!

Na te słowa powstała Stella, uczuła budzące się w zbolątej duszy resztki dawnego zapału i, odebrawszy z rąk starca mdło palącą się lampę, powlokła się ku domowi...

I znów popłynęło życie, pochłaniając w nurt swój żarłoczny uznojonego czoła pot, łzy krzywdy, jęk bólu i skarg, wołał stumionych, westchnienie.

Stella strzegła wiernie wątłego lampy swojej płomienia i nadludzkim wysiłkiem woli nad przepaścią zwątpienia podtrzymywała swoje kroki.

Lecz, gdy znów w wichrze walk życiowych chwiać się i gasnąć począł wąty płomień jej lampy, nie czuła już sił do dalekiej, męczącej pielgrzymki i prawie obojętnie patrzyła na niknącą w głębi lampki iskierkę.

Ale nagle stanęły jej w myśli dawne, w pustelni spędzane godziny, dobroć świętego starca, jego głos słodki i kojące rady...

Wszakżeż była zupełnie samotną na tym szerokim świecie! Tu, gdzie każdy zajęty kupowaniem i sprzedażą, napełnianiem śpichrzów zbożem, a sakw złotem, któż miał dzielić te dziecinne jej fantazje, któż chciał spinać się po skalistych urwiskach, mając wygodne gościńce i drogi.

Ileż razy przed tym, z którym się związała na wspólną pielgrzymkę, rozwijała promienną wstęgę swoich wierzeń i pragnień...

Jak gorąco pragnęła pociągnąć go za sobą drogą, do błękitnych zamków wiodącą, lecz napróżno, napróżno!...

Pokąd jeszcze tli promyczek łaski, pokąd górnych jej pragnień świeci nad nią widzenie, samotność ta nie tak straszną zielej próżnią...

Ale dziś, gdy ból ściska duszę, a smutek mgłą nieprzebitą zasłania słońca blaski, przy konających mistycznej lampki płomykach jej biednej ciemno, ciemno!...

A pustelnik jej drogi wysłucha, jej skargi zrozumie, ulituje się... a może jeszcze znajdzie słowo pociechy.

Nadzieja wstąpiła w duszę kobiety...

Wzięła wypalony kaganek i znów w daleką puściła się drogę.

Było południe...

Słońce z wysokości swojej sypało żar złocisty.

Stella z trudnością wspiniała się na górę i, upadając ze znużenia, dopadła progu pustelniczej chatki.

Zapukała...

Nikt nie odpowiedział.

Zapewne starzec wybrał się do swoich chorych, których pocieszał, pielęgnował.

Ból zawodu przemknął po rysach kobiety.

U wrót chaty postawiła lampę zgaszoną i poszła do schodów swoich na górze.

Od dłuższego czasu nie przybyło tu ani jedno wgłębienie, a góra taka wysoka, a zamek tak daleko!...

I patrzyła na tę górę niemą, bezlitosną, na ten granit twardy, na swoje drobne, spracowane ręce i na tę przestrzeń daleką... daleką!...

Ból pałacy, głęboki szarpnął jej łonem. Spojrzała raz jeszcze na szczyty zamglone, na to widmo zamku, ukryte w chmurach, i dziś po raz pierwszy, jak zły robak na blaski słoneczne, wypełzła w cieniach jej duszy zrodzona myśl:

A może ten zamek, to zwodna mara, może to fata morgana własnych tęsknot naszych, w chmur zwierciadle odbita...

Zadrżała przed własnych swych myśli grozą i zdawało jej się, że góra ta wraz z nią i całym światem w otchłań się stacza ciemną, bezdenną.

Uklękła na granitowych schodach i, wznosząc w górę ramiona, wołać zaczęła:

O! ty Iskro przedwieczna, której tworem miljardy iskier tobie podobnych, zabłyśnij oczom dusz naszych!

O! ty prawdo wiekuista głosem miłości, lub kary powiedz zbolełym duszom naszym:

„Jam jest.“

O, bo zbłąkały się w ciemności moje stopy, a nie masz tego, ktoby na proste skierował je ścieżki... Bo wypalił się płomień mojej nadzieji, a nie masz tego, ktoby go zatlił na nowo...

Do dalekiej drogi powołałeś mnie, o Panie, nie daj zawrócić w połowie, nie daj zburzyć trudu mojego budowy!

I w słowach tych utonęła cała jej dusza, a wzrok wyteżył się ku szczytom góry, w niemem, pełnem trwogi oczekiwaniu...: znaku jakiegoś, cudu...

Pochyliła ku zimnym głazom pałające czoło i wsłuchiwała się w głos swej duszy, która jej mówiła:

A czy godnaś ty cudu, ty, co ustałaś w drodze, co ozięblaś i opuściłaś ręce?

Nie godnam, nie godnam, nie godnam!

Pochylona głowa opuszczała się coraz niżej na twarde granit schodów...

Wstań, kobieto — zawołał głos jakiś piękny, o metalicznym dźwięku młodości i siły.

To nie głos świętego pustelnika, jak strumienia szmer cichy i łagodny...

A więc któż to być może?

Podniosła głowę.

O kilka kroków od niej, oparty o głazy, stał smukły, młody mężczyzna.

Rysy miał poważne. Ciemne oczy, obok marzycielskiej zadumy, wyrażały wielki hart i niezłomność woli, a czoło, okolone jasnymi pierścieniami włosów, z dumą bohaterów zdawało się wszelkie ciemne siły wyzywać do walki.

Stella patrzyła zdziwiona i olśniona na to/ zjawisko.

Wstań, kobieto — powtórzył.

Patrz — od blasku zachodzącego słońca rumienią się martwe głazy i zdają się pod ciężarem tej rozkosznej godziny krwią tętnić i budzić do życia, a tam do stóp ich tula się róż alpejskich główki gwiazdziste, a powój zarzuca na nie ozdobne swe wieńce, wstydząc się ich bladeści i martwoty.

Czy nie słyszysz, jaki tam od lasu idzie śpiew? To hymn wieczorny natury — a ta woń czarowna rozkwitłych ziół czy nie owiewa ciebie? Czy białych twych ramion nie pieści ów chłód rozkoszny, ten wiew z hal dalekich, łagodny, a upający, co ci z pięknego czoła krucze rozwiewa włosy.

Czy nie wiesz ty, że na — to paprocie szerokie rozścielają liście, by świętojańskie robaczki bezpieczne dla swych świecących ciałek mogły znaleźć schronienie.

Że źródło srebrny rozlewa się szeroko, by mogły się w nim przeglądać krasne jagody kaliny i liliowych dzwonek kielichy.

Że las na miękką dłoń rozkoszne rozkłada cienie, by tam spocząć mógł człowiek, znojem życia strudzony, i że stamtąd wzrok płynie po łagodnej zbóż fali, by utulić myśl bolesną, rozszlochaną.

I gdy to wszystko woła cię, nęci, zaprasza, poco zimny głaz gorącemi oblewasz łzami, czy myślisz, że go rozgrzejesz, poruszysz...

Stella nigdy takiej nie słyszała mowy, więc ze zdziwieniem z początku, potem z rozkoszą poddawała się urokowi tego głosu, co jak fala morska mięka a potężna, pieścił i porywał jej duszę.

Lecz, gdy dotknął najdroższej a bolesnej strony jej serca, obudziła się ze słodkiego upojenia i z gniewem zawołała:

Kto ty jesteś, co przyszedłeś mieć pokój mojej modlitwy i ciszę samotności przerywać?

Ja jestem Adam, syn tej ziemi, tej ziemi kwitnącej, wonnej, rozśpiewanej, tej ziemi twardej, nieczutej, niemiłosiernej.

Tej ziemi, co rodzi, pieści, żywi, tej ziemi, co kaleczy, odrąca, w ciemną głąb swoją pochłania.

I ty myślisz, kobieto, że kto winien temu, ty, ja, ona, lub tamci, co tam na dole zostali?

Czyż winien kto, gdy muszka, wiatrem pędzona, wleci w sieć pająka, by stać się jego pożywieniem?

Kto winien: muszka, wiatr, czy pajak?

A jeśli gałąź, burzą strącona, lecąc, zburzy wątle gniazdeczko ptasie i pozabija niewinne pisklęta, kto winien, burza, gałąź, czy nieudolna matka ptasia, co przeciw burzy nie umiała zabezpieczyć trwałości domku swego?

A ty oto obwiniasz siebie za krwawe umęczenie swoje, za niemoc, wobec ciężaru nad siły, i chwilę taką, z której wszystko stworzenie miód rozkoszy spija, ty jadę smutku i rozpaczę zatruwasz

A wobec ślepej, nieubłaganej konieczności natury, myślisz, że to na co się przyda, wzmocze twe siły, ujmie ci ciężaru?

Ach! wierzaj mi, gdybyś całą tę górę na schody twoich zasług wyźłobiła, gdybyś wieczność całą wołała o głos, lub znak jaki, nikt cię tam nie usłyszy i nic się nie zmieni w ślepym życia naszego porządku...

Ach, nie! — przerwała Stella — ty się mylisz. Patrz, tam błyszczą błękitnych zamków mury, tam życia naszego cel i przeznaczenie; tam nagroda lub kara, tam wieczność szczęścia lub cierpienia.

On uśmiechnął się smutnie i rzekł:

Był czas, że i ja je widziałem, lecz gdy rozum zgasił misticzne światło duszy, zniknęły mi z oczu i patrz, tam przecież nic nie ma...

Stella podniosła oczy na mgłą zasnuty szczyt i odrętwiała z przerażenia.

Nad jej głową wzniosła się wysoko pionowa góra, której wierzchołek owity był w gęste, nieprzebite chmury...

O patrz, gdzie twoje zamki, nie ma nic tylko chwilka życia, dzień dzisiejszy. teraźniejszość i zachód słońca różowy, i cienie drzew wabiące i namiętny hym natury i miłość...

Ach, miłość, która zioł wonią upajającą tchnie ku tobie, wsiąka w twe żyły, domaga się praw swoich, porywa cię w...

Milcz, to nie prawda! To tylko mgła chwilowa zasnęła błękitne zamki, one są i prawem życia nie dzień dzisiejszy, lecz cel górny, święty, świetlany.

Pokonanie materji, wyzwolenie się z oków ciała, zdeptanie zwierzęcych popędów i zwycięski pochód ducha w krainie wiecznego blasku...

Słuchaj, ty szermierko ducha, a widziałaś ty kiedy na świecie zwycięstwo swojego bóstwa. Widziałaś ty w życiu ludów i ludzi dłuższy tryumf dobra nad złem?

Może powiesz, że to idea twoich szczytów, a co się z nią dzisiaj dzieje, czy nie walczy i nie upada pod przemocą silniejszej od niej reakcji.

A pogromy najszlachetniejszych narodów, a upadek najszczytniejszych idei, a najczystszych i najwznioślejszych ludzi klęska i grób, zarosły chwastem zapomnienia...

Idea moich szczytów zwycięża, nie upada, najszlachetniejszy z narodów nie uległ w pogromie, lecz żyje i daje świadectwo życia, myśl szczytna nie umiera nigdy, lecz, jako ziarno, do ziemi wpada, by wrócić plonem stokrotnym, klęska zaś jednostek to chwilowe upokorzenie przed dniem wiecznej chwały...

To są martwe teorie, wszczepione ci w umysł, lecz pocóż szukać daleko, popatrz na siebie, wszakże ty, piękno wcielone, opromienione płodną pracą woli, i cóż się z tobą dzieje... Czy czepie kto ze źródeła poświęcenia twojego, czy stos twojej ofiary rozniecił jakie trwałe ognisko, czy dzielne twe dłonie postawiły budowę, której nie zburzy czas lub zła wola.

I cóż z tego, że zdławiłaś w sobie głos natury świętej, potężny, że młodej, rubinowej krwi twojej zgwałciłaś prawa, że bez miłości, jak drzewo bez owocu po ziemi się snujesz, cóż z tego?

Patrz, natura daje owoce na pożywienie, kwiat i pieśń swą oczom i uszom dla pieśczoły, chłód i darń mięką dla odpoczynku, dla ochłody zdroj kryształowy, a całe wielkie swe piękno dla radości serc naszych.

A ty, kobieto?... Komu służy ciała twego biel alabastrowa, komu jedwab twoich kruczych splotów, komu purpurowa ust twoich słodycz, komu oczu twoich promienie, jak nocy gwieździstej czar rozmarzający i wszechwładny.

Kto upaja duszę nadziemskich natężeń twych czarem, kto myśli twych kaskadą spragnione ożywia łono, kto serce rozgrzewa płomieniem gorących twych wierzeń i zapałów.

Kto?... Czy ten, co przy twym boku troszczy się o pełność spichrza, sakwy i brzucha?...

Cichy jęk wydarł się ze ścieśnionej żalem piersi kobiety... własna krzywda najdotkliwiej boli, a to wszystko prawdą było, brutalną, bolesną prawdą.

Żaden twór nie rozwinie się na przekór przeznaczeniu swemu, lecz musi służyć ozdobie, lub pożytkowi, wedle woli natury.

Żaden liść, powiewem wiatru strącony, nie spada bez celu, żaden robak, zdeptany stopą człowieka, nie odrywa się od matki przyrody, lecz wsiąka w jej łono, jako akt ofiarny nieustannej przemiany materji.

Wszystko życiem swem, czynem ruchem i śmiercią nawet służy wytkniętemu sobie celowi.

A ty, piękno wcielone — kobieto? Komu służy młodości twojej woń i krasa, komu wybijającej duszy twej czar rozkoszny?

I oto w tej chwili, zda mi się, w hieroglifach popękanych gładów, w chmur postrzępionych literach, w mego serca gwałtownem biciu czytać przeznaczenia twojego wróżbę.

Gdy mię z poza granitowej ściany doszły melodyjne dźwięki twego głosu, owionął mię czar wielki i gorący, jak płomienia tchnienie, a gdy ujrzałem twą postać i modlitwy twej treść zrozumiałem, ogarnęła mię najpierw cześć pobożna, potem litość bezmierna i pragnienie ulżenia tobie i służenia ci moją dłonią, moją myślą, mojej piersi choćby ostatniem tchnieniem.

O, nie sprzeciwiaj się, miłość, to największe, najświętsze prawo, to prąd, który potęgą żywiołowej swej siły skupia atomy i tworzy podstawę nieśmiertelnego bytu światów.

A bez miłości, tyś, jak mara, blada, piękna, lecz, jak eter, bezcielesna, znikoma, jak westchnienie, przeleciś nad światem, nie umaczawszy ust w słodkim przeznaczeń twych kielichu.

Stella słuchała, oszołomiona potokiem tych słów, porwana prądem fali płomiennej, jakiegoś nowego, nieznanego jej uczucia.

I obudziły się w jej duszy wszystkie dawno stłumione pragnienia i tęsknoty i zawrzały buntem pogwałconych praw swoich. Podniosła oczy i untonęła wzrokiem w spojrzeniu tem rozkochanem, z którego szedł ku niej bezmiar czułości i rozkoszy.

Pójdź, nie żądam od ciebie nic, coby splamić mogło anielskie skrzydła twoje, rzekam się raju pocałunków i pieszczot twoich rozkoszy, pragnę tylko tej czarownej godziny — urok spać z kielicha natury razem z tobą.

Pragnę oddychać i zez chwilę czarem poezji, jaką rozwiewa twa postać, wsłuchiwać się w twój głos i myśli twe nizać na mojej miłości nic płomienną, by po niej w raz z tobą w niebo ulatać.

Te szczyty twoje, to aureola górnych marzeń, która czyni z ciebie jakiś księżycowe zjawisko niedostępne, a pożądane. I ja właśnie w ich promieniach, jak w boskiej jakiej krynicy, omyć pragnę zbrukane skrzydła mojej duszy.

A może zrzucisz łuski z oczu, uwierzysz?

Może... — kobieto, tyś, jak cud, zjawiła się na mojej drodze, przez ciebie może się w mej duszy spełnić cud zmartwychwstania!

Zbliżył się do siedzącej i ująwszy silnie jej ramię, powiódł ją, bierną, posłuszną, ku ścieżce, prowadzącej na dół.

Tak szli długo, on mówił ciągle, a ona, falą jego głosu kołysana, zdawała się usypiać dla wszystkiego, co zostawiła tam na dole i tam na górze i — jak puch — wiatrem wznie-siony, zawisała między niebem a ziemią

Już się słońce zaczęło zniżać ku górom i ponad drzew wierzchołki jaskrawe rzuciło blaski, las tchnął wonią silniejszą i bardziej upajającą, a od głębokich jarów szedł chłód jakiś przedziwnie ożywczy.

Stella nie czuła tej zmiany, szła spieszenie, gorączkowo, nie pytając dokąd i jak długo, a w duszy jej z chaosu wrażeń wyłoniło się tylko jedno świadome uczucie... szczęście...

Chwilo czarowna! Ty, co pod stopy ludzkie mlecznej drogi rozsypujesz klejnoty i wszystkim liliom ziemi kwitnąć i staniać się każesz!

W tobie górskie strumienie złota żywego biją kaskadą, a najniklejszy leśny kwiat królewską nosi koronę. Ty pewnie czarodziejskiego twego tchnienia siłą w ciszę zaklinasz wszelkie westchnienia, płacz, lub skargę, bo czyż możliwem jest, by jedna koncha tzę, a druga najczystsze szczęścia rodziła perłę..

Widzisz ten gaj cienisty, szmaragdowy, tam, jak rusalka, spocznieś na traw puchach i w strumyku u stóp twych płynącym, zostaniesz cudnych rysów twych odbicie.

Barwą lic twoich zwabisz tłum motyli, które jak aureola zawisną nad twem czołem.

I wtenczas o twą krasę z zazdrości wszystkie lilie pobledną, a róże silniejszą okryją się purpurą.

Słowik natchnioną pieśnią czar twjej urody wyśpiewa, a moja dusza stokroć każdą myśl twoją powtórzy i pieścić się będzie ich poezją.

Pójdź tą leśną drożyną, jeszcze tylko ścieżka wśród zboża i widzisz, tam ciemnieje gaj szmaragdowy.

Poszli...

Na kraju lasu rozchodziło się wiele dróg i ścieżek... Nagle stanęli.

Tam, po skalistej, stromej ścieżce wspinał się święty pustelnik, szybki chód rozwiął mu srebrne pierścienie włosów i rozkołysał różaniec, zaczepony u pasa. W rękach trzymał kij sękaty i pęk ziół, w drodze zebranych.

Zrównawszy się ze Stellą, spojrzął na nią zdziwiony, badawczy, a potem takż sam wzrok skierował na jej towarzysza.

— Gdzie idziesz, niewiasto? — zapytał.

Stella zadrżała, zbladła, a potem głosem od szczęścia i trwogi drżącym zaczęła mówić o cieniach szmaragdowego gaju, o jego słowikach i strumieniach przezczystych, o życia swego smutkach i tęsknotach, o świątach czarownych a nieznanym, których nieznanym ten otwiera jej podwoje.

Pozwól mi wniknąć do tego gaju, moje oczy spragnione są jego barw łagodnych a uroczych, moje usta kryształowej wody, zużone członki odpoczynku, a dusza ciszy i ukojenia.

Cała moja istota pragnie, nie broń mi ojczyzny nie wstrzymuj!

On stał naprzeciw niej w milczeniu, wpatrując się w te rysy, szczęściem promienne.

Oto w wątlej piersi kobiety zamknęła się w tej chwili odwieczna tragedia ludzkiego istnienia i wszystkich dusz wybranych, ból, trud i walka.

Objął ją spojrzeniem, litości pełnym.

Nikt nie wzbrania kwiatom ku słońcu, ku rosie otwierać kielichy, to moje słońce i rosa, nie broń mi ojczyzny, nie zatrzymuj!

I znów w głosie tym usłyszał starzec święty wszystkich tych dusz samotnych skargi i jęki, wszystkich serc pragnienia gorące, a nigdy nie spełnione, bolesne zapasy przeciwnych sobie potęg ducha i materji i życia ludzkiego wielki, rozdzierający hymn boleści...

Starzec patrzył na te rysy cudne, szczęściem promienne, na te gorączką miłości pałające oczy, na te usta, jak kwiat granatu wilgotne, na to ciało, młodością tętniące.

I ujrzał przed oczami swej duszy inną postać tej samej kobiety, równie piękną, lecz jak odmienną...

Oto szyja ta, o labędzich wygięciach, chyli się pokornie do stóp świętej góry, a oczy w natchnionej ekstazie widzą zamki błękitne, dla innych oczu zakryte.

Dziś lilia biała, w różę płomienną zmieniona ku szczęściu ziemskiej miłości listki rozchyła. Obie są piękne, ale tej krasa to puch znikomy, który, ulatując, zostawi nagą łodygę rozczarowania i rzuci niezmyty cień na niebiańską białość jej skrzydeł, tamtej — po chwili bólu wieczyste kwitnienie...

Objął jeszcze raz litośnym spojrzeniem postać proszącej go kobiety i rzekł z mocą:

Wróć się niewiasto, to nie twoja droga!

Biada żołnierzowi, co wśród bitwy upału ojczystą rzuci chorągiew, biada budowniczemu, co dom, do połowy wybudowany, na pastwę burzom i złodziejom zostawi i temu biada, co jedną chwilę na wieczność zamieni!...

To rzekłszy umilkł i ku pustelni na górze skierował swoje kroki.

Za nim poszła Stella postulszna, cicha, ale samotna i smutna... aż do śmierci...

IRIS.

Na czarnym marmurowym kominku w wielkiej gotyckiej bibliotece starożytnego zamku moich przodków płonęło dogasające ognisko.

Zagłębiany w niskim, wygodnym fotelu śledziłem niknięcie konających płomyków, które podobne efemerycznym istotom zdawały się przedłużać i bronić swego bytu.

Zmęczone czerwonym blaskiem oczy moje co chwila podnosiły się ku ciemnej portjerze, zasłaniającej wielkie, dębowe drzwi...

Z każdą chwilą oczekiwania dusza moja wzbierała niepokojem i obawą, że może dziś nie zobaczę jej — mojej Iris.

Od chwili pierwszego naszego spotkania owinęła się ona jak wiotka liana naokoło mojej duszy.

Sploty tej drobnej, wątlej rośliny były nad wyraz miękkie, a jednak tak silne w swojej niemocy i oddaniu się, że zdawało mi się niemożliwością duszę mą od niej oderwać.

Dnie moje podzieliły się na cztery okresy.

Budziłem się z tęsknotą i marzeniem o niej. Później owładnął mą duszę niepokój i obawa oczekiwania. Wieczór, krótka, rozkoszna chwila naszej tajemnej, codziennej schadzki, a po jej odejściu uczucie bezdennej, niczem niezapełnionej pustki i noc cała, spędzona w gorączce niezaspokojonych pragnień i szalonych nadziei...

A jednak nie była to miłość w utartym znaczeniu tego wyrazu — bo o ile zagadkową i niepojętą była cała fizyczna i duchowa istota mojej Iris, o tyle dziwnym i niezwykłym był nasz wzajemny stosunek.

W marzeniach moich i mej bezmiernej tęsknocie kochałem i pożądałem jej całą siłą młodej, namiętnej duszy, a jednak, gdy stanęła na progu mej komnaty niewinna a rozkochana, zawstydzona a ufna, mogłem tarzać się u jej stóp, całując rąbek jej szaty, a nigdy nie śmiałem pomyśleć nawet, aby ustami dotknąć jej ust różowych.

Było w jej istocie coś takiego, co nie broniło się, nie nakazywało szacunku — ale wprost niemożliwą czyniło każdą myśl, która nie była czystą abstrakcją.

Na nasze schadzki zgodziła się bez namysłu, bez najmniejszego wahania i wpadała codziennie na krótką chwilę zarumieniona, z oczami szczęściem błyszczącymi.

Rozkochana, a pełna godności, słodka a stanowcza, miękka a pełna niezwyklej nademną mocy...

I znów w oznaczonej godzinie rozsunęła się ciężka, jedwabna portjera, a na jej ciemnym tle zarysowała się wiotka, wysmukła postać mojej złotowłosej Iris.

Była ubraną w suknię z jakiejś niezmiernie cienkiej, jasnoróżowej tkaniny, w której jak w mgłę tonęły jej drobne, młodziutkie kształty.

Nim miałem czas zerwać się na jej powitanie, już była przy mnie i usunąwszy się na mały taborecik u moich stóp, owinęła moje ramię nerwowym uściskiem swych białych drobnych palców.

Twarz jej miałem naprzeciw mojej twarzy i patrzałem z rozkoszą w te wielkie, ciemno-szafirowe oczy, na te cudne rysy, na te drobne, pąsowe usta i spowiadałem się ze wszystkich myśli i uczuć, które od czasu naszej wczorajszej schadzki przeszły przez moją duszę...

Słuchała tego wszystkiego z uśmiechem a potem zaczęła mówić słodkim, melodyjnym głosem:

— Ukochany mój! za tę niezmierną miłość twoją, która rozjaśniła smutne moje dni i niewypowiedzianą radością napełniła duszę, chciałabym cię obdarzyć takim szczęściem, jakiego nie zaznał żaden człowiek na ziemi.

Nie mam jednak żadnej własności, żadnego mienia, żadnego skarbu, jakiby mogła ci ofiarować. Rozporządzam jedynie moją duszą i tę pragnę uczynić twoją własnością. Ozdobię ją dla ciebie w perły uczuć, w brylanty myśli i dążeń, zapalę w niej niezliczoną moc ogni na twoje powitanie...

Pomnę, w latach najwcześniejszej mojej wiosny, objawiłeś się mojej duszy po raz pierwszy taki sam jak jesteś — z twoją bladą twarzą, czarnymi, ognistymi oczami, z bujnym, ciemnym włosiem, który jak lwia grzywa przy każdym poruszeniu spada ci na czoło.

W oczach twych były te same ognie zapалу i natchnienia, na ustach ta sama niezłomność i duma, na czole te same chmury wzniosłych i potężnych myśli, które orłom zazdroszczą lotu, a sił tytanom.

I wtenczas oddałam Ci moją duszę i stałeś się marzeniem i upragnieniem mojego serca.

Marzyłam, że na twym silnym ramieniu wsparta pójdę na bój życia mężna i bezpieczna, że się dusze nasze połączą w miłośnym uścisku, by wspierać się w locie ku najwyższemu

szczytom ludzkiej wiedzy i doskonałości; że siły moje połączę z twojemi, abyśmy oboje ochotni i świadomi swych celów rozsiewali ziarna światła, miłości i prawdy.

Dziś marzenia moje się spełniły — jesteś, znalazłam Cię — i ty mię pokochałeś, a więc podaj mi rękę swą najdroższy — wesprzyj mię na tę ciężką wędrówkę.

— Dobrze ukochana moja — zawołałam — jak możesz pytać, przecież wiesz, że życie moje do ciebie należy, rządź więc niem, kieruj, prowadź, pojdę za tobą wszędzie, choćby na świata krańce. — Podzielę z tobą każdą dolę, spełnię każdy rozkaz, z każdego losu będę się czuł szczęśliwym — byle z tobą, byle dla ciebie!

— A więc chodźmy — zawołała — poprowadzę Cię najpierw do królestwa mego ducha, pokażę ci świątynię, którą oddawna dla mego bóstwa buduję, lecz ukończyć nie mam sił — ty mi dopomożesz najdroższy.

Pokażę Ci moje gwiazdy, które mię oddawna wołają ku sobie, a ja nie mogę do nich znaleźć drogi — ty mi ją wskażesz.

Pokażę Ci obowiązki mego życia, których ciężar za wielki na moje słabe ramiona — ty go ze mną podzielisz...

Gdy to mówiła, słodki jej głos potężniał i rozlegał się w pustej sali jak sygnał bojowy — oczy promieniały, usta pałały, a złociste włosy rozwiązawszy się, rozsypały wzdłuż jej drobnej postaci, pokrywając ją całą płaszczem złocistym.

Była w tej chwili tak piękną, że za temi ustami, temi włosami, byłbym szedł olbrzymy zwalczając, piekło podbijając...

I poszliśmy...

Prowadziła mię drogą długą i znojną, po skałach, po wąwozach, po wąskich ścieżkach nad przepaściami. I widziałem wówczas cud oczywisty — zakrzepłe, lodem pokryte łąki i pola pod jej stopą tajały i pokrywały się wiosennem kwiecieniem..

A ona szła ciągle wesola, promienna, niestrudzona. Widząc moje znużenie, podtrzymywała mię, dodawała odwagi, pokaleczone stopy zmywała wodą górskich potoków; a w nocy znużoną mą głowę kładła na swe kolana i usypiała mię melodją słów swoich.

I powiodła mię na niebotyczne gór szczyty, gdzie odwieczne leżą śniegi, dokąd i orzeł nawet wlecieć nie zdolny.

Tam na ściętym stożku wierzchołka najwyższej z gór, ujrzałem piękną polanę, a na niej zaczęłą budowęgotyckiej świątyni.

Niektóre ściany były już wykończone, inne w połowie zaniechane; snąć musiał tu budowniczy zanadto wielkie napotykać trudności.

— To świątynia, którą dla mego bóstwa pragnę wybudować, lecz sił mi brak, ty mi dopomożesz, wszak prawda ukochana — rzekła do mnie Iris.

Posłuchałem — i zacząłem znosić ciężkie odłamy białego marmuru, padając, krwawiąc ręce, potem rosząc czoło. Nie usta-
wałem jednak, bo gdy spojrzały na mnie jej cudne, szafirowe
oczy, największy głoś stawał się lekkim jak płatek śniegu, a rany
pokaleczonych dłoni się goiły.

I gmach nasz wzrastał. Już się na tle jasnego błękitu za-
rysowały białe kontury smukłej, gotyckiej świątyni, już okna z
górskiego kryształu wznosiły w niebo ostre swe łuki, już stanęły
kolumny z porfiru, które miały podtrzymywać wyniosłe sklepienie.

Odpozywałem po pracy na miękkiej murawie. Ona bez
śladów zmęczenia stała przedemną różowa, z uśmiechem szczę-
ścia na twarzy.

— Widzisz najdroższy — mówiła — czem jest zjednoczenie
sił. Tyle lat pracowałam nad tą budową, a nie byłam w stanie
jej dokończyć. Teraz, gdy stanie gmach, osiądzie w nim bóstwo
nasze, a ty ukochany mój będziesz jego kapłanem...

Nie Iris moja, świątyni tej nie buduję dla żadnego bóstwa,
lecz dla ciebie jedynie — ty w niej osiądziesz — tam na ołtarzu
z różowego marmuru na szczerolotym piedestale — i modlić
się do ciebie będę i co dzień z najlepszych, najwznioślejszych
mym uczuć będę ci składał ofiary.

Nim zdołałem wymówić te słowa zerwał się nagle szalony
wicher, zatrzęsły się skały, zajęczały jaskinie, — złowrogie echo
burzy rozległo się w powietrzu niosąc w około zniszczenie...

Iris na ten widok skamieniała z przestachu i patrzyła prze-
razonemi oczami, jak głązy naszej świątyni, jeden po drugim, z
szalonym łoskotem waliły się na ziemię i nic z nich nie pozos-
tało, prócz tych ścian, które sama wybudowała.

Nie obawiałem się burzy, zniszczenie świątyni nie zrobiło
na mnie żadnego wrażenia, ale rozpacz, jaka się odbiła w oczach
mojej ukochanej, uczyniła mnie nieszczęśliwym.

Chciałem biedz do niej, pocieszać, uspakając, lecz — wi-
dząc jej zmienioną twarz — nie miałem odwagi.

Nie patrzyła na mnie wcale, ale chwiejnym, znużonym kro-
kiem, poszła ku ruinom naszej świątyni i usiadłszy na zwałonym
głazie, ukryła twarz w dłoniach.

Już się zupełnie ściemniło, gdy podniosła swe wielkie, za-
łzawione oczy i wtenczas burza ustała, a na ciemnym horyzon-
cie nieba zaświeciła nagle niezliczona ilość gwiazd.

Była to zupełnie inna konstelacja niż ta, którą widzimy co-
dziennie, gwiazdy owe były jaśniejsze i większe, a niektóre tak
jasne jak słońce.

Wtenczas ona zdawała się nie pamiętać już o swoim wiel-
kim smutku i patrząc na owe gwiazdy, wybiegła szybko na naj-
wyższy szczyt ruin — mnie pociągając za sobą.

— Patrz ukochany — mówiła radośnie — to są gwiazdy moje, które mi od dzieciństwa świecą i wzywają mię ku sobie.

Trawi mnie tęsknota za nimi, pragnę tam wlecieć i ściągnąć je na ziemię, lecz pomimo największych wysiłków nie mogę znaleźć ku nim drogi.

Nie wiem, czy aby do nich się dostać, potrzeba osiągnąć najwyższych szczytów wierzchołka, czy też na ziemię iść i zaprząwszy się do taczki, w pocie czoła własnymi rękami wysoki kopiec usypać, — lub też może niema ku nim innej drogi, jak wzlot jedynie nadpowietrzny, na skrzydłach marzeń i pragnień — nigdy nieziszczonych, nigdy niezaspokojonych...

Ujęła kurczowo moją rękę i, wskazując na te światła, mówiła dalej:

— Widzisz ukochany, ta wielka, najjaśniejsza na środku nazywa się „Wolność“, ta obok jasno niebieska to „Ludów Braterstwo“, ta jakby różowym welonem przysłonięta to „Miłość w imię Chrystusa“, te dwie, co jak siostry obok siebie płoną, to „Sprawiedliwość i Prawda.“

Wyliczała jeszcze mnóstwo imion, ale ja już nic nie słyszałem, tylko spuściwszy na nią olśnione blaskiem gwiazd oczy, nie mogłem ich już od niej oderwać.

W migocącym, błękitnym świetle na tle ciemnego nieba wznosiła się jej jasna postać, podobna jakiemuś świetlanemu zjawisku; pałające oczy utkwiała w gwiazdach, które swą śnieżystą rączką wskazywała, rozchyliła purpurowe swe usteczka w najmiłszym ze swych uśmiechów, a złociste włosy, rozwiane dookoła głowy i zwichrzone nad czołem, tworzyły nad niem jakby złotą aureolę.

— O Iris ty moja, najmiłsza, na co mi ku gwiazdom się wspinać — zawołałem — tyś jedyną gwiazdą mojego życia, które poświęcę na to, aby ku tobie znaleźć drogę.

To mówiąc, objąłem jej kibić i do jedwabistych włosów przytuliłem gorące me usta.

Ona, jakby przez węża ukąszona, rzuciła się, odtrącając mię od siebie i w tej chwili gwiazdy zagasty i w około nas zapanaowała zupełna ciemność.

Osunąłem się na ziemię i długo szukałem i wołałem mojej Iris, lecz nie przyszła i tylko zdala dochodziło mię echo cichych, stłumionych łkań.

Nazajutrz, gdy o świcie otworzyłem oczy, na tle różowiącej widnokrag jutrzeńki ujrzałem ją — była bardzo blada i bardzo smutna.

Na ten widok zdjął mię nieopisany żal i litość — rzuciłem się do jej stóp i całując kraj jej sukienki, najczulszemi obsypywałem ją wyrazami.

Ona usunęła się łagodnie lecz stanowczo i zaczęła mówić smutnym głosem:

— Dzień wczorajszy zniszczył najgorętsze pragnienia mego życia — sama nie jestem w stanie wybudować świątyni memu bóstwu — a zdawało mi się, że ze wszystkich ludzi tyś jedyny, który mógłby mi dopomóc... i zawiodłam się. Nie mogłam znaleźć drogi do moich gwiazd — zobaczywszy ciebie myślałam, że mi ją wskażesz i zawiodłam się.

Teraz już muszę się wyrzec wzniosłych moich pragnień, więc opuszczę te wyżyny i zejść na ziemię.

Tam czeka mię wielki, siły moje przechodzący ciężar obowiązku — twoje ramiona silne są, dłoń zahartowana, ty — go nieś dopomożesz — chodźmy!

I poszliśmy — prowadziła mię znów drogą długą i znojną, po skałach, po wąwozach, po wązkich ścieżkach nad przepaściami.

Stanęliśmy u stóp wysokiej, płasko wznoszącej się góry, gdzie zastaliśmy zebrane niezliczone tłumy ludzi.

Mieli na sobie wszyscy szare — pielgrzymie szaty i ascetyczne twarze, a każdy miał przed sobą ogromny kamień, który usiłował wtoczyć na ową górę.

Niektórzy mieli kamienie mniejsze i lżejsze, inni zaś tak olbrzymie głazy, że ledwie zdołali ruszyć je z miejsca i co krok upadali pod ich ciężarem.

Byli tacy, którzy spełniali tę ciężką pracę z uśmiechem, z pieśnią na ustach, inni klęli, a posunawszy o kilka kroków ciężki kamień, zrzucali go na dół i uciekali gładkim, wygodnym gościńcem — ku widniejącemu zdale miastu.

Kto są ci ludzie? spytałem.

— To są wybrani — odpowiedziała Iris — ci, którym wiele jest dano, i od których się wiele żąda. Ja także do nich należę, a tu jest mój ciężar. — I wskazała na odłam skały tak wielki, że u stop jego nikła jej drobna, wątła postać.

Widzisz ukochany, wielki jest mój ciężar, a siły mam słabe — tyś mocny — pomóż mi go wtoczyć na tę górę, może tam będziemy mogli wybudować świątynię i do gwiazd znaleźć drogę.

Nie chciałem jej odmówić, choć życzenie jej wydawało mi się zupełnie niewykonalnym. Spróbowałem więc ruszyć z miejsca kamień, w czym ona mi dzielnie dopomagała.

I tak toczyliśmy na górę ciężki, olbrzymi głaz, potykając się, upadając, krwawiąc dłonie i stopy.

Wkrótce czoło moje oblało się potem, w oczy wgryzł się kurz ze startych kamieni, a dłonie pokryły się ranami.

Na jej twarzy również malował się najwyższy wysiłek i zmęczenie, była jednak pogodną i wesołą.

— Nie ustawajaj najdroższy — wołała — mamy już za sobą pół drogi, jeszcze trochę wysiłku, a spoczniemy na górze.

— Iris moja — rzekłem — kazałaś mi dźwigać olbrzymi ciężar, ale lekkim mi on się zdaje, bo dźwigam go dla ciebie.

Czy, gdy go wtoczymy na górę czeka mię jaka nagroda, czy wolno mi będzie ochłodzić me usta wysiłkiem spieczone pocałunkiem twych ust różowych?

Przy tych słowach zwróciłem się do niej i przez ten ruch straciwszy równowagę, potknąłem się i upuściłem kamień, który już wtoczyliśmy prawie na wierzchołek góry...

Ona nie miała siły sama go zatrzymać i stoczył się ciężki głaz z szalonym hukiem i szybkością na dół — a my zostaliśmy sami przerażeni, zgnębieni, milczący.

Chciałem znów upaść do jej stóp i błagać o przebaczenie, o litość, lecz mię wstrzymał surowy i zimny wyraz jej twarzy.

— Zejdź na dół — rzekła. — Tym oto gładkim, wygodnym gościńcem, wracaj do miasta. Ja zostanę tutaj i na nowo rozpocznę swoją pracę, może uda mi się samej spełnić obowiązek mojego życia...

Wróciłem — wiele lat potrzeba było — abym wyleczył duszę z trawiącej ją tęsknoty. — Później zacząłem życie inne, płaskie, zewnętrzne i takimi też były kobiety, które w niem udział brały.

Szedłem oczywiście gościńcem gładkim i wygodnym, nie zazdroszcząc orłom lotu, ni sił tytanom..

Dziś po latach, siedzę znów przy kominku w wielkiej gotyckiej bibliotece moich przodków i zagłębiony w niskim, wygodnym fotelu — patrzę w dogasające ognisko.

Ale oczy moje od konających płomyków nie podnoszą się ku ciemnej portjerze, zasłaniającej dębowe drzwi — bo nie zjawi się już w nich nigdy jutrzenkowa postać cudnej mojej Iris... — Nie pragnę nawet, aby przyszła, nie miałbym jej czem uczcić.

Ale mimo to chętnie powracam myślą do tych najpiękniejszych dni mojego żywota.

Ale wyrzucam sobie, że nie zdołał spełnić jej życzeń, bom ja winien mej niemocy — pracowały na nią całe wieki...

Nie pragnąłbym nowej próby, bo wiem, że nie podołam.

Przywodzę tylko sobie na pamięć jej świetlaną postać, jak jakąś cudną czarodziejkę przadkę, która w szarą tkaninę moich dni, wprzędła kilka szczerzłotych nitok, które wiecznie lśnić będą w wyblakłej wstędze wspomnień.

Dziś, kiedy ową wstęgę przed oczyma duszy rozsnuwam
i spojrzenie me padnie na te błyszczące nitki, czuję jakieś dziwne
iskierki rozpalające się w mych piersiach.

I choć one, jak owe kominkowe płomyki, nie są wstanie
przedłużyć swego femerycznego istnienia, czoło me dumnie w
górze się wznosi i jakaś cicha, nadziemską radość przepętnia mą
duszę — a usta szepcą:

Iris — wiosno — jutrzeńko moja
Bądź błogosławiona!...





Wydawnictwo Książnicy Wiedzy Duchowej

poleca następujące dzieła do nabycia w Redakcji „Odrodzenia“ w Katowicach lub u K. Chobota, Warszawa, Nowogrodzka 11 ofic. m. 17, który przyjmuje w sprawach redakcyjnych i wydawniczych dla Warszawy od 4—6 godziny po południu z wyjątkiem świąt — następujące dzieła:

- | | |
|--|---------------|
| Nr. 1. Wiedza Tajemna cz. I. | |
| Nr. 2. Wiedza Tajemna cz. II., encyklopedyczny wykład egipskiej symbolistyki, każda część po | 4 złp. 50 gr. |
| Nr. 3. Nauka o oddychaniu Ramaczaraki według systemu hindusów | 1 złp. 50 gr. |
| Nr. 4. Dalsze rewelacje Grzegorza VII. Dr. Habdanka | 80 gr. |
| Nr. 5. Ostrzeżenie przed fałszywymi prorokami A. P. | 75 gr. |
| Nr. 6. W niewoli żydowskiej, A. Wysockiej | 25 gr. |
| Nr. 7. O chorobach umysłowych, Wysockiej | 40 gr. |
| Nr. 8. Kształcenie Ducha — Pracht Brandler | 4 złp. 00 gr. |
| 9. Misja Indyj w Europie | 2 złp. 00 gr. |
| 10. Karma-Joga — Swami Wiwekananda | 1 złp. 50 gr. |
| 11. Mesjanizm Polski — W. Wojciechowski. | 25 gr. |
| 12. Polska i jej twierdze bytu — Marja Czesława Przewóska | 2 złp. 50 gr. |
| 13. Duchy i Medja — Leon Denis | 60 gr. |
| 14. Wstęp w światy nadzmysłowe, I. A. S. | 3 złp. 00 gr. |
| 15. Sława — Dra. Zubrzyckiego | 1 złp. 50 gr. |
| 16. Wzierstwo — Teologia Narodowa — W. Wojciechowski | 70 gr. |
| 17. Królestwo Ducha — W. Kołodziej | 40 gr. |
| 18. Klejnot Mądrości Wschodu — Śankaraczarja | 1 złp. 50 gr. |
| 19. Życie po śmierci — Leon Denis | 4 złp. 30 gr. |
| 20. Sfinks i Krzyż — Iris | 2 złp. 00 gr. |
| 21. Przyszłość Polski w Piśmie św. prof. Łukasika | 75 gr. |
| Liczyby prorockie ks. Badury | 2 złp. 00 gr. |
| Obsypiny — Dr. Żubrzyckiego | 3 złp. 00 gr. |
| Z podañ Krynicy — Dr. Żubrzyckiego | 1 złp. 50 gr. |
| Serce — Dr. Żubrzyckiego | 1 złp. 80 gr. |
| Mir—Sława — Znak Krzyżowy, Dr. Zubrzycki | 2 złp. 50 gr. |
| Styl Polski — Dr. Zubrzycki | 2 złp. 00 gr. |
| Moje zasady leczenia — Sękowski | 70 gr. |
| Arja—Synteza odrodzenia — Dr. E. Polończyk | 2 złp. 40 gr. |

Całe Roczniki „Odrodzenia“ można nabywać w Redakcji póki zapas starczy po 5 złp.